

NASZE PRODUKTY MOŻNA ZNALEŹĆ
W WYBRANYCH SKLEPACH SPECJALISTYCZNYCH

NOWA EL RANGE *SZCZYT PERFEKCJI*



Przed Tobą: wyzwanie w postaci dużej odległości i znacznego nachylenia terenu. W Twojej dłoni: perfekcyjne połączenie ergonomicznej budowy i rewelacyjnego układu optycznego. EL Range zadziwia ostrością obrazu oraz precyzją pomiaru kąta i odległości do celu. Ta doskonała w każdym detalu lornetka, wyposażona w nowy pakiet FieldPro, wyznacza nowe standardy pod względem komfortu użytkowania i funkcjonalności. Gdy liczy się każda sekunda, postaw na SWAROVSKI OPTIK.

SEE THE UNSEEN
WWW.SWAROVSKIOPTIK.COM



SWAROVSKI
OPTIK

Drodzy Czytelnicy

Od kilku lat toczyły się dyskusje nad naszym własnym, wrocławskim periodykiem łowieckim. Ścierały się poglądy, koncepcje. Uważaliśmy, że tak prężne, dobrze zorganizowane, o określonym potencjale intelektualnym środowisko powinno dysponować środkiem przekazu i dokumentacji

– nowoczesnym, o możliwie wysokim poziomie edytorskim. Nawiązaliśmy więc wieloletnią współpracę z kwartalnikiem „Zachodni Poradnik Łowiecki”, w którym powstała wkładka „Sudecka Kraina Łowiecka”. Twórca jej winiety, Kolega Franciszek Banaszewski, był też autorem artykułów prezentujących nasze wrocławskie działania, choć z czasem zwyciężyła u niego pasja filmowania jeleni. Chcemy bardzo serdecznie podziękować Koledze Antoniemu Przybylskiemu, redaktorowi naczelnemu „Zachodniego Poradnika Łowieckiego”, oraz jego zespołowi redakcyjnemu za wsparcie udzielone naszym działaniom i pomoc merytoryczną, trwającą nadal.

W ubiegłym roku powstała Rada Programowa naszego periodyku i jego ostateczny tytuł – „Pasje”. Dlaczego „Pasje”, a nie na przykład „Pasja”? Dla większości z nas łowiectwo, a poprzez to czynny kontakt z przyrodą, jest największą pasją życia. Najczęściej nie zawodową, płynącą z wewnętrznej potrzeby. Z drugiej strony mamy też inne zainteresowania, często równie głębokie, które razem tworzą wizerunek naszego środowiska łowieckiego.

Radzie Programowej przewodniczy prof. dr hab. Roman Kołacz – rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu. Jej członkowie to: prof. dr hab. Józef Nicpoń z tegoż Uniwersytetu, mgr inż. Adam Płaksej – dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych we Wrocławiu, mgr inż. Grzegorz Pietruńko – nadleśniczy Nadleśnictwa Łądek-Zdrój, dr Stanisław Han – prezes firmy Hasco-Lek i mgr Roman Rycombel – Łowczy Okręgowy we Wrocławiu.

Cieszą nas wyrazy zainteresowania i deklaracje bliskiej współpracy ze strony Uniwersytetu Przyrodniczego oraz Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Chcemy, aby łamy naszego magazynu były miejscem prezentacji zagadnień gospodarki łowieckiej, metod i sposobów jej prowadzenia, w szczególności wynikających z najnowszych badań naukowych. Pragniemy budować pozytywny wizerunek myśliwych poprzez pokazywanie osiągnięć grupowych i indywidualnych. Tych hobbystycznych i tych zawodowych. Chcemy przedstawiać, a nie oceniać. Osąd pozostawiamy Wam, Drodzy Czytelnicy. Zapraszamy Was na nasze łamy z pomysłami, uwagami i niepokojami, a także spostrzeżeniami wynikającymi często z wieloletniego doświadczenia.



Łowczy Okręgowy
Zarządu Okręgowego PZŁ

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Rycombel".

Roman Rycombel

Prezes
Okręgowej Rady Łowieckiej PZŁ

A handwritten signature in black ink, appearing to read "Seniow".

Jacek Seniów



Zdjęcie: Krzysztof Konieczny

...z prof. dr. hab. Romanem Kołaczem **4**

Gala Muzyki Myśliwskiej **6**

Powrót Diany **12**

Z Adamem Grehlem
i Zbigniewem Magdziarzem **18**

Ogary poszły w las **20**

Wśród młodzieży **22**

...z Romanem Gołębiowskim **28**

Członkowie Honorowi PZŁ **31**

Użytki ekologiczne **39**

Dziki – nowe spojrzenie? **42**

Kaczki, kwaczki, ach te kaczki... **49**

Tarniny a motyle **52**

O nożu słów kilka **54**

Odstrzał sanitarny **56**

Łowy łucznicze **59**

Koło Łowieckie im. św. Huberta **67**

II Wystawa Trofeów Medalowych Przyroda – Łowiectwo **71**



...z Romanem Gołębiowskim



Pasje – Wrocławski Magazyn Ekologiczno-Łowiecki

Wydawca: Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu
ul. Wodzisławska 10b, 52-017 Wrocław
tel.: 71 340 08 58, fax: 71 734 52 00
e-mail: zo.wroclaw@pzlow.pl

Kontakt do redakcji: pasje.pzl@gmail.com

Redaktor naczelny: Jacek Seniów
Rada Programowa: prof. Roman Kołacz (rektor Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu), prof. Józef Nicpori (Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu), mgr inż. Adam Plakšej (dyrektor RDLP we Wrocławiu), mgr inż. Grzegorz Pietruńko (nadleśniczy Nadleśnictwa Łądek-Zdrój), dr Stanisław Han (Hasco-Lek), mgr Roman Rycombel (Łowczy Okręgowy ZO PZŁ Wrocław)
Fotografia na okładce: Piotr Śniugocki
Opracowanie graficzne: GRART
DTP: Tomasz Stasiak
Druk: KEA Wrocław

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam, ogłoszeń, listów i materiałów sponsorowanych. Redakcja ma prawo odmówić zamieszczenia ogłoszenia i reklamy jeśli ich treść lub forma są sprzeczne z linią programową bądź charakterem pisma (art. 36, p.4. Prawa prasowego) oraz interesem wydawnictwa. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów i opracowania redakcyjnego tekstów przyjętych do druku oraz prawo nieodpłatnego publikowania listów. Redakcja zastrzega sobie również możliwość nieodpłatnego wykorzystania publikowanych materiałów na własnych stronach internetowych i stronach wydawcy. Przedruki z magazynu Pasje dozwolone są wyłącznie za uprzednią zgodą Wydawcy.



...z prof. dr. hab. Romanem Kołaczem rektorem Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu o...

Rozmawia: Jacek Seniów
Zdjęcie: Tomasz Stasiak

Panie Rektorze, jak Pan widzi rolę Wrocławskiego Uniwersytetu Przyrodniczego w kształtowaniu współczesnego polskiego łowiectwa ze szczególnym uwzględnieniem wrocławskiej organizacji łowieckiej?

– W tym roku, 25 października, przypada 55 rocznica utworzenia Koła Łowieckiego „Remiza” przy Wyższej Szkole Rolniczej we Wrocławiu. Koło to tworzone było zarówno przez pracowników uczelni, jak i studentów. Od początku istnienia Koła pracownicy uczelni, a przypomnę takie nazwiska profesorów założycieli jak Marian Stangenberg, Jerzy Juszcak, Jan Nowakowski, Władysław Strojny oraz obecni profesorowie, a w momencie powstawania

koła studenci: Profesor Józef Nicpoń i Profesor Marek Houszka czy inni pracownicy naukowci uczelni, jak Profesorowie Zdzisław Pogodziński, Jerzy Kotliński, Tadeusz Cichy, Antoni Szewczyk, Mieczysław Łyskawa i inni, którzy odeszli z uczelni, a byli i są myśliwymi, zawsze kształtowali pozytywny obraz polskiego łowiectwa i wychowywali wiele pokoleń myśliwych. Obecność Koła przy uczelni skutkowałą podejmowaniem przez kadrę naukową i studentów wielu tematów naukowych o charakterze badawczym, które kończyły się licznymi pracami magisterskimi czy doktorskimi. Pragnę tu jeszcze powiedzieć o dwóch jednostkach organizacyjnych uczelni,

tj. Ośrodka Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych i Ośrodka Leczenia i Rehabilitacji Dzikich Zwierząt w Złotówku, powstałych z inicjatywy Profesora Józefa Nicponia i kierowanych przez niego. To działalność tych dwóch ośrodków prowadzona przez myśliwych buduje bardzo pozytywny wizerunek wrocławskiego łowiectwa. Działania naukowe w Ośrodku Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych dotyczyły aktualnych problemów zdrowotnych zwierząt dzikich.

Na terenie ośrodka prowadzone były przez prof. Marka Houszkę zajęcia dla studentów Wydziału Medycyny Weterynaryjnej w ramach fakultetu „Patologia zwierząt łownych”. Od początku działalności tej placówki odbywają się tu staże myśliwskie dla studentów wrocławskiego Uniwersytetu Przyrodniczego oraz innych osób, które oprócz nabywania umiejętności z zakresu łowiectwa wykonują, w ramach pracy społecznej, wiele urządzeń łowiecko-hodowlanych, uczestniczą w sadzeniu drzew i krzewów, w polowaniach zbiorowych oraz w porządkowaniu terenu ośrodka, co ma bardzo ważny aspekt wychowawczy.

Powołanie Ośrodka Leczenia i Rehabilitacji Dzikich Zwierząt stanowi istotny wkład Uniwersytetu Przyrodniczego w ochronę środowiska naturalnego i przyczynia się do utrwalenia wizerunku uczelni jako instytucji realizującej w praktyce zasady ekologii i wychowania młodzieży w duchu poszanowania życia i praw zwierząt.

Łowiectwo jest również przedmiotem do wyboru na Wydziale Biologii i Hodowli Zwierząt oraz cieszy się dużym powodzeniem wśród studentów. Przedmiot ten prowadzony jest również przez myśliwego doktora Przemysława Cwynara.

Co mogą zaoferować Uniwersytetowi w zamian nasi myśliwi?

– Uniwersytet nasz, jak sama nazwa wskazuje, obejmuje bardzo wiele zagadnień przyrodniczych, będących na styku z łowiectwem. Jesteśmy otwarci na wszelkie formy współpracy, zarówno naukowej, jak i edukacyjnej. Wymaga to wspólnej dyskusji i ustalenia wspólnych priorytetów tej współpracy oraz jej warunków.

Obecnie jestem osobiście zainteresowany pomocą kół łowieckich czy osób indywidualnych w pozyskiwaniu zwierząt wyreperowanych, które chciałbym umieścić w organizowanym Muzeum Przyrodniczym na naszym Uniwersytecie.

Współczesna, intensywna gospodarka łowiecka potrzebuje wsparcia nauki. Organizowaliśmy wspólnie wiele konferencji naukowych, poświęconych tym zagadnieniom. Może naiwnie, ale często oczekujemy, bo i tego potrzebujemy, porad wprost, gotowych recept, co i jak mamy robić. Czy jest to, i w jakim stopniu, realne?

– Bardzo dziękuję za te wspólne przedsięwzięcia w organizacji konferencji naukowych i zakładam, że w przyszłości będziemy je nadal razem organizować. Naszą misją i obowiązkiem jako uczonych jest przekazywanie rezultatów badań tym, którzy są nimi zainteresowani. Nie zawsze jednak uzyskane wyniki są jednoznaczne i mogą być natychmiast wdrażane. W badaniach biologicznych musimy być cierpliwi i pokorni. Musimy zawsze być absolutnie pewni, że nasze porady i zalecenia nie przyniosą negatywnych skutków w środowisku przyrodniczym teraz i w przyszłości.

Jest Pan myśliwym, dlaczego?

– Mój status jako myśliwego nie jest jeszcze do końca uregulowany. Mam zdane egzaminy, ale nie mam jeszcze pozwolenia na broń. Wynika to ze sprzeciwu mojej żony. Tu potrzebuję wsparcia moich kolegów myśliwych. Mam nadzieję, że kończąc już drugą kadencję rektora, będę miał dużo wolnego czasu i żona, aby się mnie pozbyć z domu, chętnie wyrazi teraz zgodę (śmiech).

Myśliwi na wrocławskim Uniwersytecie Przyrodniczym. Ich wpływ na kierunki badań naukowych.

– Głównie prowadzone są monitoringowe badania diagnostyczne zwierzyny w celu ustalenia przyczyny śmierci i kontrolowania stanu zdrowia populacji poszczególnych gatunków zwierząt dzikich. Efektem było wykrycie silnej inwazji *Haemonchus contortus* u saren oraz pasterelozy płucnej dzików.

Prof. dr hab. dr h. c. Józef Nicpoń kierował dwoma dużymi projektami badawczymi w ramach grantu MNiSW pt. „Ochrona ginącego gatunku w Polsce na przykładzie zająca szaraka (*Lepus europaeus*)”. Badania były prowadzone w dziewięciu zespołach badawczych.

Kolejny grant z MNiSW pt. „Zawartość zearalenu w paszy oraz tkankach dzików i jego wpływ na układ rozrodczy i populację tych zwierząt”.

Prowadzone były też badania w ramach grantu MNiSW, kierowanego przez prof. dra hab. Marka Houszkę „Ocena stanu zdrowotnego jastrzębia (*Accipiter gentilis*) w środowisku naturalnym i w warunkach hodowli zamkniętej”.

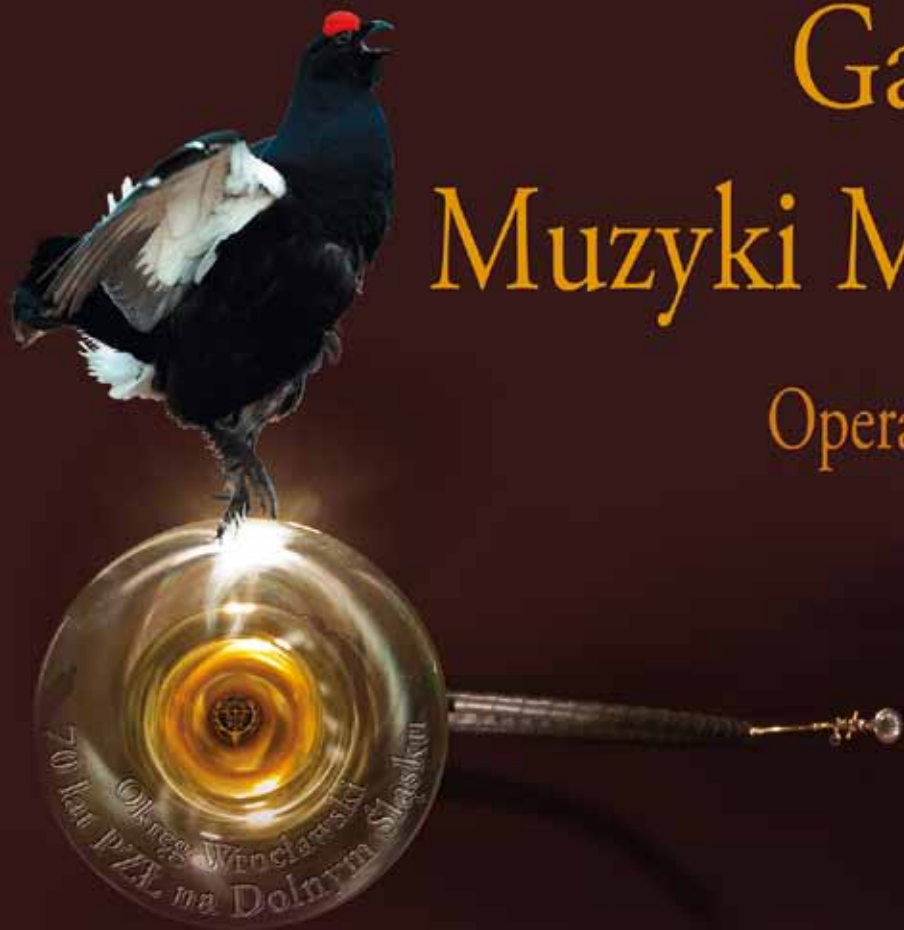
Z zakresu patologii zwierząt łownych wykonano jedną pracę habilitacyjną, jedną doktorską, opublikowano ponad trzydzieści pięć prac naukowych, często w zagranicznych czasopismach, a także ponad trzydzieści popularnonaukowych. Ośrodek Badań Środowiska Leśnego i Hodowli Zwierząt Łownych Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu był organizatorem lub współorganizatorem sześciu konferencji o tematyce łowieckiej i ochronie środowiska naturalnego.

Dziękuję za rozmowę.

Gala

Muzyki Myśliwskiej

Opera Wroclawska, 2015



Tekst: Mieczysław Łyskawa i Andrzej Wystyгло
Zdjęcia: Wojciech Dach i Marek Kochan



Piątek, 20 marca 2015 roku, godzina 21.00, Opera Wrocławska – na stojąco, pełna widownia oraz wszyscy wykonawcy na scenie odśpiewali wspólnie – na bis – myśliwską piosenkę „Szła dziewczeczka”. Potem powoli cichły długie, owacyjne brawa i opadła kurtyna, kończąc I Galę Muzyki Myśliwskiej we Wrocławiu. Na obliczach muzyków i wokalistów zagościła radość i zadowolenie. Odetchnęli też z ulgą organizatorzy tej imprezy. Zakończył się sukcesem ponad roczny okres przygotowań do stworzenia i zaprezentowania ich dzieła. Teraz przyjmowali zasłużone gratulacje.

Wydaje się, że warto wspomnieć o tym, jak doszło do tego przedsięwzięcia dla masowego odbiorcy. Co w zamysłach organizatorów miało stanowić jego ideę przewodnią? Co i komu miało ono pokazać? Gdzie i z kim można było je zrealizować?

Potrzeba zorganizowania we Wrocławiu imprezy z muzyką myśliwską nurtowała władze naszego Okręgu już od kilku lat. Niesprecyzowana wówczas formuła tej imprezy (koncert, festiwal, konkurs?), jak i brak własnego muzycznego zaplecza wymagały jeszcze paru lat przemyślanej, systematycznej i intensywnej pracy. Na wniosek Komisji Kultury, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu powołany został zespół roboczy, który opracował projekt szkolenia sygnalistów myśliwskich wraz z utworzeniem zespołu sygnalistów. Został on przyjęty przez Zarząd naszego Okręgu w marcu 2011 roku. Rozpoczęto szkolenie sygnalistów myśliwskich, a z najlepszych trębaczy utworzono w 2012 roku Zespół Sygnalistów Myśliwskich, pierwszy w historii wrocławskiego okręgu PZŁ. Uczyniono więc wstępny krok na drodze zorganizowania pierwszej imprezy z muzyką myśliwską we Wrocławiu.

Pod koniec 2013 roku władze okręgowe podjęły decyzję o zorganizowaniu koncertu muzyki myśliwskiej w Operze Wrocławskiej – jednym z najpiękniejszych teatrów operowych w Europie. Właśnie to miejsce nobilituje osiągnięcia wszystkich wykonawców, daje niepowtarzalną oprawę każdej imprezie i stanowi ucztę duchową. Po rozmowach z Dyrektorem Opery Wrocławskiej Ewą Michnik otrzymaliśmy 26 marca 2014 roku potwierdzenie terminu oraz udziału orkiestry i chóru Opery w zaplanowanym koncercie. Nastął teraz czas na opracowanie formuły i treści tej imprezy.

24 lipca 2014 roku spotkali się bezpośredni jej organizatorzy:

- Jacek Seniów – Prezes Okręgowej Rady Łowieckiej;
- Roman Rycombel – Przewodniczący Zarządu Okręgu, Łowczy Okręgowy;
- Andrzej Wystygo – członek Komisji Kultury, Tradycji i Zwyczajów Łowieckich ZO PZŁ we Wrocławiu.

Postanowiono nadać tej imprezie nazwę I Gala Muzyki Myśliwskiej i zaprosić do grona wykonawców najlepsze zespoły muzyki myśliwskiej z kraju oraz naszego regionu. W programie Gali ujęto też wątek edukacyjny: prezentację rogów myśliwskich od starych po współczesne. Uznano, że o kierownictwo artystyczne i prowadzenie Gali zwrócimy się z prośbą do Mieczysława Leńniczaka – kierownika Reprezentacyjnego Zespołu Muzyki Myśliwskiej PZŁ, ikony muzyki myśliwskiej w Polsce i w Europie. Prośba nasza została przyjęta. Podzielono także zakres obowiązków:



Piotr Grzywacz gra na Rogu Tuchsolskim własnej konstrukcji

– Jacek Seniów podjął się realizacji zadań w zakresie oprawy graficznej i reklamy oraz wspólnie z R. Rycomblem działań na rzecz pozyskania sponsorów instytucjonalnych i finansowych,

– Roman Rycombel przyjął na siebie obowiązki wzajemnych relacji z kierownictwem Opery Wrocławskiej oraz wszelkich działań wymagających wsparcia władz naszego Okręgu,

– Andrzej Wystygo wziął na siebie zadania związane ze stroną artystyczną tego przedsięwzięcia, kontakty z wykonawcami, opracowanie programu oraz scenariusza Gali.

Okres przygotowań zakończono 18 marca 2015 roku, a więc na dwa dni przed rozpoczęciem Gali.

Informacja o Gali nie została poparta płatną reklamą medialną. Komunikat o tej imprezie był prezentowany jedynie na stronie internetowej ZO PZŁ we Wrocławiu oraz w programie „Nie przegap” TV Wrocław. Wiadomość o organizacji Gali przekazywana była w bezpośrednich, koleżeńskich rozmowach pomiędzy myśliwymi. Taką politykę informacyjno-reklamową przyjęto z uwagi na rozprowadzenie całości zaproszeń na półtora miesiąca przed dniem rozpoczęcia Gali. Potwierdza to potrzebę organizowania tego rodzaju i tej rangi imprez dla naszego, myśliwskiego środowiska i dla naszych sympatyków.

20 marca 2015 roku o godzinie 16.45 rozpoczęła się na scenie Opery próba generalna wykonawców. Prowadzili ją Mieczysław Leśniczak oraz Bogusław Rup. Obecni byli akustyk i scenograf Opery. O godzinie 18.00 Opera Wrocławska otworzyła podwoje dla przybyłej widowni Gali. Publiczność otrzymała do wspólnego zaśpiewania wydrukowane przez organizatora teksty piosenek myśliwskich „Pojedziemy na łów” i „Szła dziewczeczka”. Do godziny 19.00 cała sala widowiskowa Opery wypełniła się po brzegi. Teraz przygasły światła na widowni i po trzykrotnym gongu rozchyliła się częściowo kurtyna, przed którą wyszło dwóch trębaczy: jeden z Zespołu Sygnalistów Myśliwskich Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu, a drugi z Zespołu Muzyki Myśliwskiej „Akord Lasu” Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu. Sygnałem myśliwskim „Zbiórka myśliwych” rozpoczęli I Galę Muzyki Myśliwskiej. Prowadzący Galę M. Leśniczak zapowiedział wykonanie sygnału myśliwskiego „Powitanie” przez wszystkich wykonawców, ustawionych na scenie.

Jacek Seniów – Prezes ORŁ we Wrocławiu – dokonał oficjalnego otwarcia Gali: przywitał VIP-ów, zaproszonych gości, wykonawców i wszystkich uczestników Gali.

Prowadzący Galę po przedstawieniu wykonawców zapowiedział koncert orkiestry i chóru Opery Wrocławskiej pod dyrygenturą Tomasza Szredera. Orkiestra wykonała dwa utwory instrumentalne: uwer-

turę z opery „Joanna d’Arc” Giuseppe Verdiego i cava-tinę z opery „Napój miłosny” Gaetano Donizettiego, a następnie dwa utwory wokально-instrumentalne: chór myśliwych z opery „Wolny strzelec” Carla Marii Webera oraz chór myśliwych z opery „Straszny dwór” Stanisława Moniuszki.

W dalszej części prowadzący Galę zapowiedział pierwszą część koncertu w wykonaniu Reprezentacyjnego Zespołu Muzyki Myśliwskiej PZŁ pod jego kierownictwem. Wykonawcami byli: zespół instrumentalny (pięciu trębaczy i perkusista) oraz duet wokalny: śpiewaczka operowa Natalia Piechowiak (sopran) i słynny baryton Sławomir Olgierd Kramm. Zaprezentowano operową muzykę myśliwską (Karola Kurpińskiego oraz Stanisława Moniuszki).

Kolejnym punktem programu była prezentacja rogów myśliwskich z prywatnej kolekcji kol. Piotra Grzywacza z Muzeum Sygnałów Myśliwskich w Tucholi. Prezenter kolekcji został odznaczony najwyższymi odznaczeniami PZŁ, jest rycerzem Zakonu św. Huberta w Czechach, byłym zastępcą Prezesa Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ, inicjatorem i organizatorem corocznych edycji Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Myśliwskiej i Wieżowej w Tucholi, dyplomowanym jurorem konkursów sygnałów myśliwskich oraz kompozytorem i autorem tekstów wielu sygnałów myśliwskich. Prezentuje także swoją wiedzę o muzyce myśliwskiej na seminariach w całej Europie.

W trakcie około piętnastominutowej prezentacji Piotr Grzywacz zapoznał widzów z historią rogu myśliwskiego oraz pokazał kilkanaście różnych, starych instrumentów w połączeniu z ich prezentacją muzyczną. Były w tym zestawie rogi myśliwskie wyprodukowane we Wrocławiu w XIX wieku: Róg Księcia Pszczyńskiego z fabryki Franza Hirschberga oraz Róg Wolbromski z fabryki Friedricha Gessnera. Z Galicji róg myśliwski z grawerunkiem: Koło Łowieckie „Knieja” Lwów 1937, z oryginalnym godłem Polskiego Związku Łowieckiego. Zaprezentowane również zostały rogi carskie: róg borzjatnika z XIX wieku oraz róg Carskiej Służby Łowieckiej w Puszczy Białowieskiej z około 1900 roku, rożki angielskie, czeska „Lesnica”, róg francuski, rogi kieszonkowe „Clewinga”, rogi bawole z XIX wieku, róg węgierski i róg z antylopy kudu. Wielkim aplauzem przyjęto prezentację drewnianego Rogu Tucholskiego własnej konstrukcji Piotra Grzywacza.

Prowadzący Galę Mieczysław Leśniczak zapowiedział występy trzech zespołów muzyki myśliwskiej z Sudeckiej Krainy Łowieckiej. Wystąpili:

– Zespół Sygnalistów Myśliwskich Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu pod kierownictwem Bartosza Piskozuba. Zespół został założony w 2012 roku. W jego dorobku artystycznym są m.in. oprawy muzyczne zawodów strzeleckich, wystaw kynolo-



Piotr Grzywacz gra na instrumencie wykonanym z rogu antylopy kudu



*Gra zespół reprezentacyjny Polskiego Związku Łowieckiego pod kierownictwem Mieczysława Leśniczaka, śpiewają soliści Opery Poznańskiej
Natalia Piechowiak – sopran i Sławomir Olgierd Kramm – baryton*

gicznych oraz msze hubertowskie. Zespół wykonał „Marsz św. Huberta” Reinholda Stiefa.

– Zespół Muzyki Myśliwskiej „Akord Lasu” Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu pod kierownictwem Andrzeja Wystygło. Został założony 21 maja 2014 roku w składzie siedmioosobowym. W jego dorobku artystycznym są m.in.: występ na obchodach reaktywowania Zakonu św. Huberta w Czechach (transmitowany przez TV czeską), oprawy muzyczne na krajowych wystawach kynologicznych, na konkursach oraz msze hubertowskie. Zespół zaprezentował instrumentalnie i wokalnie „Fanfarę kynologiczną” Reinholda Stiefa z tekstem własnym.

– Sudecki Chór Rogów Myśliwskich pod kierownictwem Bogusława Rupa. Za początek zespołu uznaje się rok 1997. Sudecki Chór Rogów Myśliwskich występuje w połączonym składzie dwóch zespołów: „Odgłosów Kniei” Zarządu Okręgowego PZŁ w Wałbrzychu (rok założenia: 1998) oraz „Durlakowych Rogów” z Kamiennej Góry (rok założenia: 2006). Zespół zaprezentował trzy pieśni własnej kompozycji: „Pieśń muflona”, „Sylwan” oraz „Leśnik”.

Następnie wystąpił Zespół Francuskiej Muzyki Myśliwskiej „Trompes de Pologne” pod kierownictwem Henryka Mąki. Założony w roku 2000 jest jedynym tego typu zespołem w naszym kraju. Działa pod patronatem Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Warszawie. Tworzy go siedmiu myśli-

wych pasjonatów, połączonych fascynacją muzyką myśliwską. Mieszkają w różnych regionach Polski. Ćwiczą indywidualnie, natomiast wspólnie występują na koncertach i festiwalach muzyki myśliwskiej, prezentując mało znane w Polsce tradycje konnych polowań par force. Zespół należy do Międzynarodowej Federacji Trąb Francuskich z siedzibą w Paryżu. W roku 2013 został odznaczony Medalem św. Huberta. Muzycy z tego zespołu grają na naturalnych instrumentach o długości 4,5 metra, zwiniętych w 3,5 zwoju.

Instrument ten w swojej formie i brzmieniu pozostaje niezmienny od 200 lat. W tym rodzaju muzyki trębacz zawsze grają tyłem do słuchających, co wynika z budowy instrumentu oraz techniki polowań par force, w których jadący na przodzie psiarczykowie i dojeżdżacze informowali sygnałami orszak podążający za nimi. Charakterystyczną cechą francuskich trąb myśliwskich jest czarne wnętrze, mające zmniejszać ilość refleksów światła, które mogły oślepić lub płoszyć konie i zwierzynę.

Zespół wykonał fanfarę „Bretoński dobry wieczór” (komp. Delacroix, 1867), „W zielonym stroju” (komp. Yves Lafarge) oraz „Cyklameny” (komp. Christian Conte).

W drugiej części wystąpił Reprezentacyjny Zespół Muzyki Myśliwskiej PZŁ pod kierownictwem Miecysława Leśniczaka. Zaprezentowano pieśń i piosenkę myśliwską.



Gra Zespół Francuskiej Muzyki Myśliwskiej „Trompes de Pologne” pod kierownictwem Henryka Mąki

Na zakończenie występu zabrzmiała znana piosenka „Pojedziemy na łów” w wykonaniu instrumentalnym oraz duetu wokalnego zespołu M. Leśniczaka, ze śpiewem pozostałych wykonawców.

W finale, kończącym I Galę Muzyki Myśliwskiej w Operze Wrocławskiej, prowadzący imprezę Mieczysław Leśniczak przedstawił publiczności wszystkich jej wykonawców, prezes Okręgowej Rady Łowieckiej Jacek Seniów złożył podziękowania Dyrektorowi, Dyrygentowi oraz Chórowi i Orkiestrze Opery Wrocławskiej oraz wykonawcom Gali, a także wszystkim tym osobom, które przyczyniły się do jej zorganizowania, a prowadzący Galę zapowiedział wykonanie hymnu polskiego łowiectwa „Darz Bór” przez wszystkich uczestników, a następnie odśpiewano piosenkę myśliwską „Szła dziewczeczka”.

Gala dobiegła końca przy wielkim, entuzjastycznym aplauzie stojącej widowni.

Czas na podsumowanie tej imprezy. Przez ponad dwie godziny zaprezentowano słuchaczom bogactwo muzyki myśliwskiej: od sygnalistyki, poprzez muzykę kameralną, artystyczną, dawną francuską muzykę myśliwską par force do klasycznej muzyki operowej. Ta prawdziwa uczta duchowa została podana przez najlepszych wykonawców: od rodzimych z Sudeckiej Krainy Łowieckiej do najbardziej uznanych artystów w naszym kraju i w Europie. Gala była pokazem jednej z najlepszych stron łowiectwa, jaką

jest arcyciekawa muzyka myśliwska, zajmująca trwałe miejsce w kulturze naszego narodu. Mamy prawdziwą satysfakcję ze stworzonego wspólnie dzieła, które swym bogatym, zróżnicowanym programem, wspartym wysokim poziomem artystycznym, zostało już ocenione jako ewenement w muzyce myśliwskiej w naszym kraju.

Warto podkreślić, że impreza była również mundurową galą myśliwych. Po raz pierwszy bowiem mieliśmy sposobność tak bogatego zaprezentowania we Wrocławiu swojej organizacyjnej przynależności do Polskiego Związku Łowieckiego.

W imieniu organizatorów I Gali Muzyki Myśliwskiej w Operze Wrocławskiej: Okręgowej Rady Łowieckiej oraz Zarządu Okręgowego PZŁ we Wrocławiu pragniemy tą drogą przekazać jeszcze raz podziękowania:

- Dyrekcji i kierownictwu oraz artystom Opery Wrocławskiej za przychylność, życzliwość, przyjacielskie partnerstwo i twórczą współpracę,
- wszystkim wykonawcom Gali;
- instytucjom oraz tym osobom, które udzieliły nam wsparcia na rzecz jej zorganizowania.

Z myśliwskim pozdrowieniem: Darz Bór!

Z ostatniej chwili

Już w trakcie przygotowywania niniejszego numeru do druku otrzymaliśmy smutną wiadomość, że 31 marca odszedł od nas nagle nasz wspaniały Kolega Piotr Grzywacz. Niech Mu knieja wiecznie szumi!



Śpiewa chór Opery Wrocławskiej pod dyrygenturą Tomasza Szredera



Powrót Diany

Tekst: Magda Wieteska

Zdjęcia: Tomasz Stasiak, Ryszard Zarycki

16 sierpnia 1898 r. w północno-zachodniej części parku Szczytnickiego, na dzisiejszym skwerze Zbyszka Cybulskiego, stanął pomnik Polującej Diany, rzymskiej bogini łowów i przyrody.

Autorem dzieła był Ernst Seger, niemiecki rzeźbiarz urodzony w Nysie, który ukończył Wrocławską Królewską Akademię Sztuki i Rzemiosła Artystycznego, a później doskonalił warsztat w pracowni Christiana Behrensa (od 1886 r.) oraz Auguste'a Rodina (lata 1839–1884) w Paryżu.

Pomnik Diany w latach przedwojennych stał się jedną z największych atrakcji miasta, o czym świadczą liczne pocztówki z wizerunkiem bogini, chętnie wysyłane krewnym przez ówczesnych wrocławian.

Do 1945 r., pomimo zawieruchy wojennej, rzeźba Polującej Diany stała na cokole. Potem, tuż po wojnie, figura nagle zniknęła, został tylko postument z granitowych skał. Co się z nią stało? – Prawie wszystkie wrocławskie pomniki, które nie miały historycznie negatywnego kontekstu, przetrwały do dziś, np. Amor na Pegazie autorstwa Theodora von Gosen. A dlaczego akurat Diana zaginęła? Być może jako atrakcyjna forma rzeźbiarska została przez kogoś zabezpieczona i dziś zdobi jakiś prywatny ogród lub

park, czekając na jej ponowne odkrycie – zakłada Romuald Nowak, kustosz działu rzeźby Muzeum Narodowego we Wrocławiu.

Pomnik nie odnalazł się, ale powstała idea jego rekonstrukcji i po 70 latach Diana powróciła na swoje miejsce. Pomysł rekonstrukcji posągu był wspólną inicjatywą Towarzystwa Miłośników Wrocławia, Polskiego Związku Łowieckiego i prezydenta Wrocławia. – Trudno znaleźć mi moment kluczowy, gdy zawiązało się to porozumienie. Zresztą o tym, że Diana stała niegdyś w parku Szczytnickim, dowiedziałem się od pana wiceprezydenta Adama Grehla – mówi dr inż. architekt Tomasz Myczkowski, projektant rekonstrukcji dawnej rzeźby.

Idea odtworzenia pomnika Diany pojawiła się w Towarzystwie wczesną wiosną 2014 r. Ojcem pomysłu był wiceprezydent Wrocławia Adam Grehl.

– Gdy zobaczyłem pocztówkę i zdjęcia pomnika, którego nie ma, zrodziła się myśl, aby Diana wróciła – potwierdza Adam Grehl.

Późniejsze wspólne działania Towarzystwa Miłośników Wrocławia oraz Polskiego Związku Łowieckiego umożliwiły jedynie od strony organizacyjnej i finansowej realizację pomysłu. Pierwsza konferencja prasowa, powołanie Społecznego Komitetu Rekonstrukcji Pomnika Diany, założenie konta bankowego, przygotowanie cegiełek, pierwsze zbiórki i wpłaty, umowa z rzeźbiarzem, odbiór modelu gipsowego rzeźby, przygotowanie terenu, montaż pomnika, a wreszcie uroczyste odsłonięcie – były kolejnymi etapami działania.

Do współpracy zaproszono artystę rzeźbiarza Ryszarda Zaryckiego, absolwenta ASP we Wrocławiu, który od 1997 r. prowadzi samodzielną pracownię, specjalizując się w tradycyjnych warsztatowych technikach rzeźbiarskich, pozwalających na działanie w dziedzinie konserwacji zabytków. Jest autorem m.in. popiersia Eugeniusza Gepperta w Muzeum Miejskim we Wrocławiu i płaskorzeźby Jana Chrzciciela we wrocławskiej katedrze. Wykonywał też prace rzeźbiarskie w kościołach i obiektach pałacowych. Znany jest też jako twórca rzeźb przy fontannie oraz psów, które stoją na odrestaurowanym rynku wrocławskiego Psiego Pola.

Najpierw zostały więc rozpoznane możliwości rekonstrukcji pomnika Diany. Trzeba było zgromadzić dokumentację, przygotować projekt. Pomysłodawcom rekonstrukcji rzeźby zależało na tym, aby powstała ona z udziałem wrocławian, żeby każdy z nas miał poczucie, że jest tam włożona jego złotówka, cegiełka, bo takie wspólne działania tworzą pewnego rodzaju więź.

Pierwszym zadaniem było zgromadzenia materiału ikonograficznego i odtworzenie pomnika na rysunku. Ryszard Zarycki nie narysował jednak Diany. Posunął się znacznie dalej, wykonując jej statuetkę.

Przymiarki do nadania Dianie właściwej pozy, takiej jak na pierwotnej rzeźbie, były czasochłonne. – Jakoś ruch mi się wciąż nie zgadzał, bo czegoś, co wyglądało naturalnie i dynamicznie na rzeźbie, w rzeczywistości nie udało się powtórzyć. Miałem wrażenie, że Seger stworzył Dianę nie na moment przed rzutem, ale chyba o krok wcześniej – konstatuje Tomasz Myczkowski.

Osobnym wyzwaniem stało się wyrzeźbienie psów. Jednak doświadczenie Ryszarda Zaryckiego również w tej dziedzinie (pomniki psów na Psim Polu, które współgrają z herbem dzielnicy) znów okazało się zbawienne. Lekko zmodyfikowano tylko rasę psów – na dzisiejszej rzeźbie są to ogary polskie, myśliwskie psy, stworzone do polowania w grupie, bardzo wiernie odtworzone. To psy gończe historycznie związane z Polską, mocno oparte na tradycji naszej

kultury. Przedstawienie ich na pomniku jest pomysłem Polskiego Związku Łowieckiego we Wrocławiu.

Rozpoczęły się prace rekonstrukcyjne i organizacyjne pozwalające zgromadzić niezbędne fundusze. Sam sukces zbiórki przerósł początkowe wyobrażenia inicjatorów, gdyż w ciągu roku udało się uzyskać całość potrzebnej kwoty – 290 tys. zł. Niewątpliwie przyczyniła się do tego wrażliwość wrocławian na inicjatywy budujące swoisty, niepowtarzalny charakter miasta. Dodatkowo atrakcyjnie opracowana forma „cegiełek” na odbudowę posągu Diany przyciągnęła wielu ofiarodawców. I znów okazało się, że hasło „Wrocław miastem spotkań” nie jest przypadkowym zlepkiem słów zachęcających do odwiedzin, ale ma pokrycie w faktach. Wśród wspomnianych wrocławian było wielu myśliwych.

Na uroczystości odsłonięcia rzeźby pojawiło się około trzystu osób, w tym przedstawiciele władz miasta, środowisk łowieckich, darczyńcy, uczniowie, miłośnicy historii Wrocławia i ci, którzy przyczynili się do odbudowy pomnika.

Wszystkim, którym zawdzięczamy końcowy sukces, należą się od wrocławian słowa: serdecznie dziękujemy!











Z Adamem Grehlem – Wiceprezydentem Wrocławia
oraz Zbigniewem Magdziarzem – Prezesem Towarzystwa Miłośników Wrocławia rozmawia Jacek Seniów



Panie Prezydencie, mieliśmy przyjemność współpracować, jako wrocławska organizacja łowiecka, z Panem w dziele rekonstrukcji pomnika Polującej Diany dłuta Ernsta Segera. Jakie są Pana wrażenia z tej współpracy?

– Bardzo dobre. Spotkałem się z grupą ludzi zorganizowanych, sprawnych w działaniu i wiedzących, czego chcą. Potrafiących rozwiązywać problemy i budować dobre relacje z otoczeniem. Ludzi oddanych sprawom łowieckim. Czuć u Was solidność i odpowiedzialność. Nasza współpraca była przyjemnością.

Czyli nie wahałby się Pan jeszcze raz podjąć wspólne działania z wrocławskimi myśliwymi?

– Nie, nie wahałbym się. Można Wam zaufać i wiele powierzyć.

Jakie widziałby Pan inne pola ewentualnej, obustronnie korzystnej współpracy?

– Myślę, że warto kontynuować temat Diany. Pomysł z obchodzeniem imienin Diany właśnie tu, przy jej pomniku, wydaje się być bardzo interesują-

cy. Z jednej strony to popularyzacja jej wizerunku, związanego z łowami, z waszą pasją, a z drugiej podkreślenie i przekazywanie dalej tradycji tych okolic Wrocławia. Tereny parku Szczytnickiego były kiedyś terenami łowieckimi i rybackimi miasta. Później nabrały charakteru terenów rekreacyjnych. Do 1907 roku na obszarach przyległych do obecnej Hali Stulecia odbywały się wyścigi konne. Pozostałością Toru Wyścigów Konnych jest dzisiejszy kształt Pergoli. Dziś park Szczytnicki to jeden z największych parków Wrocławia, zajmujący czwarte miejsce w Europie pod względem różnorodności i bogactwa drzewostanu. Może warto nie tylko tu, na skwerze Zbyszka Cybulskiego, zachować pamięć o nim, czy wręcz określić jego pierwotną rolę wobec Wrocławia. Myślę, że wszędzie tam, gdzie tradycja i kultura łowiecka znajdowała swoje odbicie w materii miasta, warto to zachować i jest pole do wspólnych działań.

Dziękuję za rozmowę.

Jeszcze raz taka współpraca? A jeśli tak, to dlaczego, Panie Prezesie?

– Oczywiście, że tak. Najlepszym dowodem dobrej (właściwie można tutaj zaryzykować twierdzenie, że wzorcowej) współpracy między Towarzystwem Miłośników Wrocławia a Polskim Związkiem Łowieckim jest fakt, że po 16 miesiącach wspólnych działań, od września 2015 roku pomnik Polującej Diany cieszy swoją obecnością mieszkańców Wrocławia tak licznie odwiedzających park Szczytnicki. Od samego początku nasza współpraca oparta została na wzajemnym szacunku i zaufaniu. To TMW dysponowało pełną kwotą zebranych środków, również tych pozyskanych od myśliwych, i realizowało wydatki. Natomiast przedstawiciele Związku mieli wolną rękę przy realizacji części projektów (np. grafika, poligrafia, reklama), w sprawie spotkań i uroczystości związanych z realizacją całego przedsięwzięcia i co najważniejsze – w stworzeniu „mitycznej i myśliwskiej otoczki” wokół pomnika. Nikt z nas nie próbował udowodniać, że zna się na rzeczach, na których się nie zna.

Wzajemnie uzupełnialiśmy się, od początku do końca. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że jeśli marzy nam się budowa społeczeństwa obywatelskiego, to powinna ona opierać się właśnie na takich zasadach i formach, jakie udało nam się wypracować między Związkiem Łowieckim, Urzędem Miasta i TMW.

Pola wspólnych działań?

– Nowe wspólne działania widzę w trzech umownych kręgach, w których pośrodku stoi pomnik Diany.

Pierwszy – to najbliższe otoczenie samego pomnika. Wyobrażam sobie, że nie tylko w 2016 roku ale i w kolejnych latach skwer, przy którym stoi Diana, stanie się miejscem wspólnych spotkań mieszkańców (miłośników) Wrocławia z myśliwymi. Przy okazji imienin Diany, to jest 10 czerwca, w piękny wieczór przy myśliwskich fanfarach (sygnałach) odbywać się będą spotkania prezentujące dorobek naszego Związku, myśliwskie zwyczaje, broń, a wokół spacerować będą psy rasy polski gończy czy ogary polskie. Wszystko to można wzbogacić o różnego rodzaju konkursy i zabawy dla uczniów wrocławskich szkół, przybliżając im w ten sposób tematykę myśliwską.

Drugi krąg to park Szczytnicki. Sądzę, że na całym obszarze, gdzie jeszcze w XVIII wieku mieszkańcy Wrocławia organizowali polowania, można ustalić kilka prawdziwych lub fikcyjnych nawet miejsc nawiązujących do myśliwskich tradycji tego parku. Nie musi to być nowy pomnik, ale np. tablica, kamień, nazwa dla alei, polany, zagajnika odnosząca się do tych tradycji i znajdującego się w pobliżu pomnika Diany.

Trzeci krąg obejmuje już całe miasto (Las Rędziński, Mokrzeński, Strachociński) oraz kompleksy leśne znajdujące się w pobliżu Wrocławia (Wołów, Milicz, Oława). Pragnąc zaprosić tam młodzież szkolną, turystów, możemy w tych lasach odszukać stare miejsca nawiązujące do historii Wrocławia i Śląska (kwestia np. Ryczyna itd). Możemy też razem wymyślić, wskazać i zagospodarować nowe miejsca, jak to udało się w przypadku Smoka Strachoty straszącego w Lesie Strachocińskim. Nikt nam nie udowodni, że w lesie w pobliżu Wrocławia nie polował Henryk Brodaty, a na polanie ziół nie zbierała św. Jadwiga czy piękna i nieszczęśliwa córka bogatego wrocławskiego mieszczanina. W rezerwie mamy jeszcze czarownice czy też obóz letni wrocławskich krasnali. Łącząc wątki historii i bajek, możemy wspólnie zaprosić młodzież, turystów, rowerzystów do zielonego, pachnącego lasu – odrywać ich od telewizji i komputerów.

To wszystko możemy zrobić razem. Przy Diane nam się udało.

Dziękuję za rozmowę.





GARY POSZŁY W LAS

Ryszard Nowicki

Międzynarodowy Sędzia
Pracy Psów Ras Myśliwskich

... Echo ich grania słabło coraz bardziej, aż wreszcie utonęło w milczeniu leśnym. Zdawało się chwilami, że nikły dwugłos jeszcze brzmi z boru, nie wiedzieć gdzie: to jakby od strony lasów...

(Stefan Żeromski – „Popioły”)

Polowania były istotnym składnikiem działalności gospodarczej i życia obyczajowego szlachty oraz magnaterii w dawnej Polsce. Były one nie tylko ulubioną rozrywką tych klas społecznych, ale i źródłem zdobywania pożywienia, a zarazem sprawdzianem męstwa i rycerskiej odwagi.

Z czasem myślistwo straciło znaczenie ekonomiczne i nie liczyło się w działalności przynoszącej zyski materialne. Stało się bardziej kosztowną rozrywką, zaliczaną do zbytków szlacheckich.

Z wszelkimi rodzajami polowań nierozdzielnie związane były psy, które towarzyszyły myśliwym. Nie było zamku, dworu czy pałacu, gdzie nie hodowano psów, a szczególnie w owym czasie gończych.

Jeszcze przed wynalezieniem broni palnej używane były do wytropienia, gonienia, do napędzania zwierzyny w sieci lub oszczekiwania i osaczenia zwierzyny grubej, umożliwiając myśliwemu ubicie jej kuszą lub skłucie oszczepem czy kordelasem. Cenione były psy o niezwykle rozwiniętym instynkcie myśliwskim, wyróżniającym się upartym trzymaniem się ciepłego (tj. świeżego) tropu zwierzyny, o doskonałym zmyśle orientacyjnym, z odpornością fizyczną w penetrowaniu terenu leśnego i powrocie do punktu wyjścia.

Psy gończe typu zachodniego, tj. psy św. Huberta dotarły do Polski dopiero w XIII–XIV wieku. Zalety myśliwskie tych psów okazały się wyższe od podob-

nych cech psów używanych w owym czasie do polowań w naszych kniejach.

Na wielkich przestrzeniach ziem dawnej Rzeczypospolitej i przez długie okresy czasu pierwotna rasa ulegała różnym modyfikacjom. Część zachowała typ dawny, prawie niezmienny. W owym czasie dbano głównie o dobrą pracę tych psów na polowaniach, a że były rasowe i o wiele lepsze w ogromnej większości od różnych miejscowych pokurczów, zawdzięczać można zachowane we względnej czystości rasy gończych. W ten sposób ukształtował się typ psa o pewnych określonych i wspólnych dla całej populacji cechach wyróżniających go jako ogara, a polowanie z nimi nazwane zostało gończarstwo.

Wielu łączy nazwę ogara z maścią podpalania „podżara”. Inni uważają, że to słowo pochodzi z czeskiego „ohar”, tj. wyżeł. Zapewne nazwa kojarzona też była z wydawaniem w czasie ich gonu różnych głosów, co kojarzono z „graniem”. Oczekujący mógł po głosach wydawanych przez goniące psy wiedzieć, jaka zwierzyna jest goniona, bowiem inaczej jest głoszony dzik, inaczej lis, inaczej jeleń. Głosy gonu stanowiły miłe dla ucha akordy.

Z ogarami polowano jeszcze bardzo aktywnie w początkach XX wieku w majątkach i dworach polskich właścicieli na Kresach Wschodnich – obecnie Litwa i Białoruś.

Najczęściej służyły one do polowań na lisy i zające, choć jak podaje August Sztolcman (ŁP, 1900 rok) w majątkach Branickich i Potockich utrzymywana była psiarnia ogarów na grubego zwierza.

Historia hodowli ogarów na ziemiach polskich sięga kilku wieków wstecz, niestety ostatnia wojna światowa oraz zmiana granic państwa doprowadzi-

ła do prawie całkowitego unicestwienia tej pięknej i cennej rasy.

Po drugiej wojnie światowej wraz ze zmianą modelu łowiectwa i wprowadzenia innych sposobów polowania, pies zaczął odgrywać tylko pomocniczą rolę w polowaniu. Ogary i typowe gończarstwo przestało istnieć.

Jednak odrodzona powojenna historia polskiego gończarstwa na trwale związana jest z Dolnym Śląskiem i Wrocławiem. W 1959 roku wrocławski oficer WP w owym czasie major Piotr Kartawik przywiózł z rodzinnych stron Białorusi z miejscowości Smorgoń do Wrocławia 5 typowych ogarów polskich kresowych. Tak powstała w okresie powojennym pierwsza w Polsce wrocławska hodowla ogarów z przydomkiem „z Kresów” i restytucja ogara polskiego.

Na podstawie wrocławskiej hodowli „z Kresów” opracowaniem wzorca ogara polskiego zajęli się Jerzy Dylewski i Piotr Kartawik. W Międzynarodowej Organizacji Kynologicznej FCI wzorzec ogara polskiego przedstawił członek Zarządu Głównego PZŁ i Związku Kynologicznego w Polsce inż. Edward Frankiewicz. Dzięki dużej przychylności ówczesnego Prezydenta FCI generała Waclawa Ruziczki z Czechosłowacji ogar polski został zarejestrowany w 1964 roku i w rejestrze FCI figuruje pod nr 52 (Braque polonais).

Piotr Kartawik urodził się 25.06.1918 roku w miejscowości Soły – obecnie Białoruś. Zmarł tragicznie 16.02.1969 roku na polowaniu w lasach koło Twardogóry.

Mało kto wie, że płk Piotr Kartawik przez wiele lat był animatorem kynologii łowieckiej na Dolnym Śląsku i piastował funkcję przewodniczącego Komisji Hodowli i Tresury Psa Myśliwskiego Dolnośląskiej Rady Łowieckiej oraz był członkiem takiej komisji w Naczelnej Radzie Łowieckiej. Działaniami swoimi poczynił wiele pionierskich prób w zorganizowaniu i osiągnięciach kynologii łowieckiej woj. wrocławskim. Był jednym z największych pasjonatów gończarstwa i propagatorem łowów z ogarami, a przy tym człowiekiem o niebywałej kulturze osobistej i niespotykanej skromności.

W 2002 roku przypadła 33 rocznica tragicznej śmierci Piotra Kartawika. Grono wrocławskich kynologów zrzeszonych przy PZŁ wspólnie z Komisją Kynologiczną ORŁ postanowiło zorganizować konkurs ogarów o randze międzynarodowej i nazwać go imieniem płka Piotra Kartawika. Wrocławska Okręgowa Rada Łowiecka podjęła uchwałę, że konkurs ten będzie coroczną i stała imprezą kynologii użytkowej w Polsce, organizowaną we Wrocławiu.

Konkurs corocznie odbywa się w obwodzie łowieckim Koła Łowieckiego „Leśnik” w Jarach k. Obornik Śląskich i gromadzi liczne grono miłośników psów gończych z całej Polski, a nawet z zagranicy.

W trakcie konkursu wyczuwalna jest atmosfera rywalizacji, budzą się wśród hodowców i właścicieli duże emocje, ale góruje sympatia i koleżeńskość ludzi, którzy od wielu lat spotykają się na tego typu konkursach.

W przeddzień konkursu liczne grono sympatyków i uczestników z władzami wojewódzkimi PZŁ, sędziami kynologicznymi odwiedza grób patrona konkursu św. Piotra Kartawika na osobowickim cmentarzu. Zapalane znicze i składane wiązanki kwiatów przy grze na rogach myśliwskich stwarzają niezapomnianą atmosferę i nadają podniosły charakter uroczystości. Ostatnio uczestniczy z nami córka patrona Pani Elżbieta z Rodziną.

W roku 2013, tj. w 44 rocznicę tragicznej śmierci Piotra Kartawika, Wrocławska Rada Łowiecka przyznała Mu pośmiertnie medal „Zasłużony dla Łowiectwa Wrocławskiego”, który uroczystie w trakcie konkursu w Jarach został wręczony córce Elżbiecie.

Współcześnie obecny ogar polski to żywy dokument tradycji i historii naszej kultury łowieckiej. Nie może zaginać jako użytkowy pies myśliwski. Jest psem silnej budowy, muskularnym, o długim tułowiu, głowie dość ciężkiej, dużej, o długich wiszących uszach. Wzrost 55–65 cm, umaszczenie ciemnoszare z żółtym podpalaniem, tzw. czaprakowe, ogon gruby i średnio długi.

Dzisiejsze polowania z ogarami występują w nieco innej formie niż było to dawniej. Obecnie ogary służą głównie do polowań na grubą zwierzynę leśną jako dzikarze i okazjonalnie jako tropowce. Kontynuatorem tradycji rodzinnych Kartawików został bratanek Piotra Kartawika, Wojciech Kartawik. Wojciech jest leśnikiem lasów zielonogórskich, hoduje ogary, z nimi poluje i aktywnie uczestniczy w wielu wystawach kynologicznych i konkursach użytkowości łowieckiej, również w Jarach. Ostatnio w 2012 roku, dla tzw. odświeżenia krwi naszych ogarów oraz poprawienia cech użytkowych, przywiózł z rodzinnych stron Białorusi młode pokolenie ogarów, które wywodzi się z psów przez lata polujących w tamtych stronach.

*W złocistej zieleni puszczańskich bezmiarów
Pobudka jesieni – gon wdzięczny ogarów,
Co pieśnią wytryska, gdzieś hen z uroczyska,
Do marzeń kołysze miłosnie*

(Julian Ejsmond)

DARZ BÓR

Jak to robić?

Promocja łowiectwa wśród młodzieży

Tekst i zdjęcia: Piotr Leliński



Bardzo długo zastanawiałem się, jaka ma być forma tego artykułu. Ponieważ w czasie pierwszego spotkania redakcyjnego ustaliliśmy, że gazeta ma być dla myśliwych i o myślistwie, postanowiłem, że będzie to materiał napisany przez kolegę myśliwego normalnym, zrozumiałym językiem. Zacznę więc od tego, jak zaraziłem się pracą z dziećmi.



Tak – zaraziłem, ponieważ to uzależnia i zmusza do samokształcenia i uzupełniania swojej wiedzy, którą młodzież i dzieci, szczególnie te najmłodsze, potrafią bezwzględnie zweryfikować.

Chyba osiem lat temu moja żona, nauczycielka w jednej ze szkół w powiecie średzkim, zaproponowała mi zorganizowanie dzieciom z jej szkoły lekcji przyrody w domku myśliwskim, który właśnie ukończyliśmy budować. Okazja ku temu była przednia, gdyż lekcja miała zakończyć się ogniskiem będącym niespodzianką dla młodzieży z okazji zbliżającego się Dnia

Dziecka. Po uzyskaniu zgody na wykorzystanie domku od kolegi łowczego Zbyszka Kamińskiego przystąpiłem ochoczo do przygotowań. O ile zgromadzenie drewna na ognisko nie przysporzyło mi kłopotów, to zaczęły się one przy ustalaniu konspektu lekcji; nigdy wcześniej tego nie robiłem. Jedyнным wstępnym założeniem było, że materiał nie może być zbyt długi i musi być przedstawio-



Wielki, stojąc przy książce obecności w łowisku, wspólnie z kilkoma kolegami rozmawialiśmy o trwającym sezonie. Zaabsorbowani rozmową nie zauważyliśmy, jak podjechała do nas Pani Sołtys i zapytała, czy możliwe jest, aby jakiś myśliwy ubrany w mundur organizacyjny porozmawiał z dziećmi w świe-

ny w sposób maksymalnie absorbujący uwagę słuchaczy. Próby tworzenia kolejnych prezentacji wykazywały, że idę albo za szczegółowo w prezentacje zwierząt, albo zawierają one opisy zbyt wielu ich gatunków. Po przerobieniu kilku wersji ustaliłem ostatecznie zakres i temat



tlicy wiejskiej na temat łowiectwa i opowiedział o zwierzętach. Ponieważ zwracała się bezpośrednio do łowczego, którego znała, już po chwili uzyskała od niego wypowiedź, skierowaną do mnie, mniej więcej tej treści: Piotrek, ty już organizowałeś taką lekcję i potrafisz mówić, mógłbyś więc takie spotkanie zorganizować. Postawiony przed faktem dokonanym potwierdziłem tylko, że podejmę się zadania i ustaliłem termin.

lekcji. W ten sposób po kilkunastu dniach pracy powstała prezentacja zatytułowana „Zwierzęta wokół nas”. Zawarłem w niej podstawowe dane na temat kilku gatunków zwierzyny grubej i drobnej występującej w naszym obwodzie. Wiedziałem, że przy omawianiu poszczególnych gatunków będę mógł się posłużyć trofeami, którymi ozdobione są ściany naszej koliby myśliwskiej. Pierwsza lekcja okazała się moim sukcesem, co potwierdziły panie nauczycielki, przybyłe jako opiekunki dzieci.

Po debiucie przez jakiś czas nic się nie działo na mojej niwie naukowej. Dopiero zbieg okoliczności sprawił, że pewnego dnia w miejscowości Zabór

Sądzę, że właśnie w tym momencie zaczęła się moja przygoda z młodzieżą. W szczególności związałem się właśnie z dziećmi z Zaboru Wielkiego i rozpocząłem współpracę z Panią Małgosią Czajkowską, trenerem świetlicowym. Początek współpracy z dziećmi zbiegł się z walnym zgromadzeniem naszego koła, które upoważniło mnie do kontaktów z młodzieżą i promowania łowiectwa. Rozpocząłem więc cykl spotkań prezentujących wszystkie gatunki zwierząt występujących na naszym terenie.

Dzieci wykazały wielkie zainteresowanie w trakcie tych lekcji. Ponadto okazało się, że Pani Małgosia już wcześniej z własnej inicjatywy organizowała zimowe



śmy karmnik dla ptaków, który umieszczony został przed świetlicą i na bieżąco był uzupełniany przez dzieci w karmę.

Kolejne tygodnie spędziliśmy na wspólnym z dziećmi budowaniu domków lęgowych. Każde dziecko własnoręcznie zmontowało budkę lęgową z materiału, jaki pozostał nam z budowy ambon. Prace trwały aż do wiosny, kiedy dzieci wywiesiły budki w przydomowych ogrodach. Od tej chwili każde z nich miało w założonym dzienniku budki

wyjścia z dziećmi do lasu, podczas których dokarmiano zwierzęta. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko kontynuować pracę z „materiałem wstępnie obrobionym”. Po napisaniu projektu i zaaprobowaniu go przez Zarząd Koła ochoczo przystąpiłem do realizacji własnego tematu pt. „Ptak w każdym ogrodzie”. Myśląc przyszłościowo, dotarłem do Łowczego Okręgowego we Wrocławiu Romana Rycombla, który objął mój projekt patronatem. Dodatkowo Pani Małgosia otrzymała zapewnienie z Samorządowego Ośrodka Kultury w Miękinii, któremu podlega świetlica w Zaborze, że możemy liczyć na ich wsparcie.

Okres na rozpoczęcie działań był sprzyjający, gdyż ruszyliśmy w październiku. Na wstępie przygotowali-

umieszczać informacje na temat: czy budka została zasiedlona, przez jaki gatunek ptaków i czy wyprodukowane zostały młode. Finał akcji ustalono na październik, a więc akcja miała trwać rok.

Ponieważ przez wiosnę, lato i część jesieni to dzieci miały pracować, ja mogłem zająć się promocją łowiectwa na szerszą skalę, tzn. rozpocząłem cykl regularnych spotkań z dziećmi różnych szkół i przeszkoli. Część spotkań organizowałem na prośbę kolegów myśliwych z innych kół, których pociechy przyjeżdżały na jednodniowe wycieczki do naszego łowiska i koliby, gdzie prowadziłem wykład na temat zwierząt i wszystkiego, co ich dotyczyło, a później wspólnie biesiadowaliśmy przy ognisku, piekąc kielbaski. Inne spotkania organizowałem na prośbę Łowczego Okręgowego i te przeważnie prowadziłem w placówkach oświatowych na terenie Wrocławia.

Zdarzało się, że prowadziłem także we wrocławskich szkołach lekcje, o które poprosili mnie znajomi czy też koledzy z pracy. Doszło do tego, że niejednokrotnie wkładałem mundur wiszący w biurze, brałem torbę, w której miałem przygotowane akcesoria do lekcji w postaci zrzutów kozła i byka oraz skóry lisa, jenota czy też borsuka, i jechałem do szkoły lub przedszkola na lekcje. Liczba spotkań, szczególnie w okresie wiosny i wczesnej jesieni, była taka, że za-

częło mi się to wymykać spod kontroli. Do-
szło do tego, że umówiłem się w naszej ko-
lobie na kilka spotkań z paniami z jednej ze
szkół we Wrocławiu i terminy kolejnych lekcji
potwierdzałem telefonicznie. Pewnego razu
dzwoni do mnie nauczycielka i mówi, że
chciała ustalić termin lekcji w naszym domku
myśliwskim. Ponieważ akurat nie przypomi-
nałem sobie, abym miał umówione spotka-
nie w tej szkole, zapytałem czy dzwoni ze
szkoły w Żernikach? Odpowiedź mnie zasko-
czyła, gdyż pani powiedziała mi, że dzwoni



resować nią, jak i swoją pasją młodzież, która
w przyszłości być może będzie miała wpływ
na kształtowanie modelu łowiectwa w Polsce
oraz postrzeganie myśliwych. Dodam tylko,
że do chwili obecnej chętnie prowadzę lek-
cje z dziećmi i młodzieżą, jednak staram się
robić to w szkołach z uwagi na to, że każda
lekcja w domku myśliwskim to kolejny dzień
z mojego urlopu.

ze szkoły na ul. Komuny Paryskiej, a o mnie
wie od koleżanek, które przekazują sobie mój
numer telefonu jako osoby, która organizuje
świetne lekcje przyrody dla dzieci. Był to dla
mnie pierwszy sygnał świadczący o tym, że
promocja ma sens i że myśliwy może być po-
strzegany jako osoba potrzebna, znająca się
na przyrodzie i dodatkowo potrafiąca zainte-



Wróćę teraz do finału projektu „Ptak w każ-
dym ogrodzie”. Ponieważ Pani Małgosia, świe-
tlicowa z Zaboru, jest osobą wyznającą zasa-
dę: jak coś robimy, to robimy z rozmachem,
postanowiliśmy, że finał również powinien
być zorganizowany z przytupem. Po zapew-
nieniu środków finansowych, w tym tych
od sponsorów, którymi byli głównie koledzy
myśliwi, kupiliśmy nagrody dla dzieci. By pra-
widłowo ocenić pracę, jaką wykonały dzieci,
powołaliśmy komisję, w składzie której znaleźli
się: Dyrektor Samorządowego Ośrodka Kul-
tury w Miękinii Małgorzata Sidorska-Sujecka,

Łowczy Okręgowy ZO PZŁ we Wrocławiu Roman Rycombel, Przewodniczący Komisji ds. Tradycji i Kultury Łowieckiej przy ZO PZŁ we Wrocławiu Piotr Flak oraz łowczy naszego KŁ „Odyniec” Środa Śląska Zbigniew Kamiński. Mamy dzieci uczestniczących w projekcie upiekły na wieczór finału ciasta i razem spotkaliśmy się w świetlicy wiejskiej. Zaangażowanie dzieci i poziom prac zaskoczył członków komisji, którzy po burzliwej dyskusji wybrali zwycięzców. Po nagrodzeniu wszystkich uczestników wspólnie dokonaliśmy degustacji wypieków przygotowanych przez mamy. Do dziś dzieci opiekują się swoimi budkami i pamiętają o ich przygotowaniu wiosną dla ptaków przed okresem lęgowym.



Po zakończeniu tego projektu zacząłem zastanawiać się, co wymyślić nowego. Co zrobić, aby zaangażować dzieci ze świetlic w okolicznych miejscowościach? Właśnie w tym momencie pomoc nadeszła sama. No, może nie dosłownie, ale na pewno w odpowiednim czasie. Po prostu zadzwonił do mnie Łowczy Okręgowy i powiedział, że przyjeżdża do Wrocławia Mirek Głogowski, krajowy koordynator akcji „Ożywić pola”, organizowanej od kilku lat pod patronatem „Łowcy Polskiego”, Polskiego Związku Łowieckiego i Lasów Państwowych. W czasie pobytu we Wrocławiu Mirek chciałby zachęcić do udziału w tej akcji jak najwięcej placówek oświatowych i czy ja mógłbym zorganizować takie spotkanie? Podjąłem rękawicę i od razu skontaktowałem się z Panią Małgosią, Dyrektorem SOK w Miękini, z prośbą o pomoc w jego organizacji. Twierdząca odpowiedź i zapewnienie, że w przygotowaniach pomoże mi również Pani Małgosia z Zaboru Wielkiego, z którą już pracowałem, zmobilizowała nas do działania. Po poinformowaniu łowczych okolicz-



nych kół zwróciłem się również pismem do burmistrza Środy Śląskiej i wójta Miękini z prośbą o oddelegowanie na dzień spotkania nauczycieli przyrody ze szkół im podległych. Na spotkanie z koordynatorem stawili się licznie myśliwi i nauczyciele. Przedstawiony przez kolegę Mirka cel akcji zaowocował tym, że do kolejnej edycji zgłosiło się również kilka placówek z naszego terenu. Motywowani przez panią Małgosię Czajkowską, trenera świetlicowego w Zaborze Wielkim, zgłosiliśmy się również my, jako jedna z nielicznych placówek SOK, a nie szkoły.

Od tej chwili rozpoczęliśmy naprawdę trudną pracę, która trwała ponad rok. Od momentu przystąpienia do „Roku Trznadla” natrafiliśmy na pierwszy i poważny kłopot, tj. uzyskanie terenu pod zorganizowanie remizy śródpolnej. Utworzenie remizy jest głównym celem akcji, wiąże się jednak z pozyskaniem działki na długi okres, a więc konieczne jest jej wydzierżawienie bądź zakup. Ponadto okazało się, iż zarówno Gmina, jak i Nadleśnictwo w Miękini chciały nam takie działki udostępnić, ale na każdej, którą wytypowaliśmy, było to niemożliwe z uwagi na występowanie na niej rzadkich gatunków zwierząt. Wszelkie podejmowane próby okazywały się niemożliwe. Nie chcąc jednak wypaść jako ci, którzy wykazali się słomianym zapalem, przystąpiliśmy do budowy karmnika dla ptaków oraz platformy do ich obserwacji. Obiekty umieściliśmy w pobliżu naszej koliby myśliwskiej. Dzieci otrzymały grafik dyżurów, w trakcie których miały dokarmiać ptaki oraz fotografować je w celu zebrania materiału do powstającego przez cały czas sprawozdania z przebiegu naszej akcji.

Dodatkowo rozpoczęliśmy przygotowania do organizowania imprez i akcji mających na celu promocję łowiectwa w społecznościach lokalnych i angażowanie coraz więcej dzieci. Na wyniki nie trzeba było długo czekać. Panie działające w świetlicach wiejskich okolicznych miejscowości, motywowane przez Panią Dyrektora SOK w Miękinii, przyłączały się do nas. Elementem, który pokazał dzieciom, że warto pracować na rzecz ochrony przyrody, było zorganizowanie dla tych, które między innymi brały udział w sadzeniu lasu, wycieczki do stacji badawczej PZŁ w Czempiniu. Całodzienna wyprawa, podczas której zwiedziliśmy stację, przeplatana była wykładami na temat zwierząt tam przebywających, prowadzonymi przez jej pracowników, oraz prelekcjami na temat gatunków ptaków występujących w Polsce, prowadzonymi przez ornitologów, którzy związali się z naszą grupą i pomagają nam w realizacji spotkań z młodzieżą. Na zakończenie nie zabrakło oczywiście biesiady przy ognisku.

Po wycieczce, już w zwiększonym składzie, przystąpiliśmy do przygotowania kolejnej imprezy, której nadałem tytuł „Wieczór tradycji i kultury łowieckiej”. Miejsmem była nasza koliba myśliwska, która na dobre stała się punktem na mapie Zaboru, z którym identyfikują się wszyscy mieszkańcy odwiedzający nas licznie przy okazji każdej imprezy.

Zakres przygotowań i wynik zaskoczyły nas wszystkich. Udało nam się namówić do udziału w tej imprezie wiele osób i dzieci. Prelekcje mieli między innymi przedstawiciele Lasów Państwowych, Państwowej Straży Łowieckiej, SOK w Miękinii, ZO PZŁ we Wrocławiu oraz myśliwi naszego koła, w tym ja jako prowadzący mogłem zebrany przedstawić historię łowiectwa oraz elementy jego kultury. Przy omawianiu kolejnych elementów sygnały łowieckie prezentowali nam sygnaliści zespołu „Tryton”, działającego przy ZO PZŁ we Wrocławiu. Dodatkowym elementem imprezy była degustacja przygotowanych na tę okoliczność potraw kuchni myśliwskiej.

Zachęcenii zaangażowaniem dzieci i dorosłych rozpoczęliśmy przygotowania obchodów „Nocy świętojańskiej”. Impreza, nad którą standardowo patronat sprawowało nasze koło, SOK w Miękinii oraz ZO PZŁ we Wrocławiu, miała być inauguracją lata i wakacji. Po raz pierwszy w trakcie zabawy zorganizowano I Przelajowy Bieg o Puchar Łowczego Okręgowego „Tropem trznadła”. Impreza rozpoczęta o godzinie 16.00 wiciem przez dzieci wianków z kwiatów, które wcześniej same zebrały, zakończyła się dyskoteką trwającą do późnych godzin nocnych.

Oddech, jaki złapaliśmy przez wakacje, pozwolił na zebranie sił i zorganizowanie kolejnej imprezy, tym razem pt. „Zakończenie lata”. Ogrom wcześniej

wykonanej pracy został dostrzeżony i przy organizacji kolejnej edycji otrzymaliśmy wszelką pomoc ze strony strażaków z miejscowości Głoska i Miękinia, którzy przygotowali kurs pierwszej pomocy dla dzieci oraz zawody gaśnicze. Władze samorządowe z Miękinii udostępniły dzieciom ściankę wspinaczkową. Nie zabrakło oczywiście promocji łowiectwa i przyrody. Zabawa ponownie zakończyła się dyskoteką, trwającą jak zawsze do godzin nocnych. Od tej pory przez cały czas pracowaliśmy w łowisku oraz przy platformie obserwacyjnej, w której systematycznie wymienianić trzeba było elementy maskujące.

Po zebraniu pełnej dokumentacji z przebiegu akcji zakończyliśmy składanie sprawozdania i wysłaliśmy je do redakcji „Łowcy Polskiego”. Była to kolejna okazja do spotkania z dziećmi i przedstawicielami władz lokalnych oraz myśliwych, w trakcie którego podziękowaliśmy dzieciom za udział i zaangażowanie, jednocześnie przekazując im skromne niespodzianki.

Później było już tylko czekanie na wyniki i wielka radość, kiedy okazało się, że znaleźliśmy się na liście laureatów akcji. Spotkanie z Koordynatorem Krajowym Mirosławem Głogowskim, które odbyło się we Wrocławiu w lutym 2015 roku, pokazało, że jako grupa nieszkolna, będąca „pierwszakim” w akcji, zajęliśmy 11 miejsce w kraju. Dodatkowo nasze sprawozdanie-album otrzymało wyróżnienie za wykonanie i zawarty materiał. Wszystko to sprawiło, że apetyty na udział w kolejnej edycji wśród dzieci i nas koordynatorów, zarządu koła, dyrekcji SOK w Miękinii i Wójta Gminy Miękinia Jana Mariana Grzegorzczyna, są ogromne. W naszych głowach już rodzą się pomysły, a Wójt obiecał nam działkę pod budowę remizy śródpolnej, przy której dodatkowo ma powstać ścieżka ekologiczna. Już piszemy plany i przygotowujemy się do ciężkiej pracy, jaką mamy do wykonania.

Podsumowując, należy zadać sobie pytanie: czy warto pracować z dziećmi i młodzieżą? Dla mnie odpowiedź jest prosta. Warto – i to bez wątplenia chociażby po to, aby zobaczyć radość dzieci, wykorzystywać ich zaangażowanie i motywować je do dalszej pracy. Najważniejsze jest jednak to, że każde z nich wyrosnie na człowieka, który nie da powiedzieć złego słowa o myśliwych, gdyż będzie wiedzieć, jaka jest ich rola w gospodarce zwierzyną i ochronie przyrody. Nigdy nie zniszczą urządzeń łowieckich, są przygotowane do ochrony zwierząt i ptaków, nie głosząc pustych haseł, jakie słyszymy z ust pseudoekologów. Sądzę, że w przyszłości będą to osoby, na których pomoc możemy liczyć jako ludzi świadomych. Dlatego jeszcze raz podkreślam: warto pracować z młodzieżą choćby po to, aby nie być postrzeganym jako zabójca zwierząt, biegający lub jeżdżący terenówką po lesie i polach.



*Ze strzelonymi jednego poranka głuszcami, swoim i kol
Wiktora Szukańskiego, 6.04.1959 roku, nadleśnictwo
Zapałów (Bory Dolnośląskie)*



...z Romanem Gołębiowskim

Tekst: Sławomir Różycki

Zdjęcia: Archiwum Państwa Gołębiowskich i Jacek Seniów

Na polowania zacząłem chodzić z moim tatą, gdy miałem sześć lat. Przyjaźnił się on z Romanem Gołębiowskim i z reguły polowali razem, toteż moje łowy z tatą były również z Panem Romanem. Gdy mój tato zmarł, polowałem już tylko z nim.

Wszystkie te polowania wspominam bardzo miło. Przede wszystkim wyprawy z Romanem były bardzo sprawne, choć oczywiście jakieś nieporozumienia czasami się zdarzały. Roman był piechurem, lubił dużo chodzić – często polował zatem z podchodu, zwłaszcza na rannych wyjściach. Obchodził wtedy ogromne połacie lasu i pól, wchodził w niesamowite gąszcze, wąziutkie przesmyki i prawie zawsze miał jakieś spotkanie, podczas gdy my z tatą siedzieliśmy bezowocnie na ambonkach. Wracał zawsze w umówione miejsce, o umówionej godzinie, uśmiechnięty, ośnieżony albo obsypany gałązkami, trawami bądź innymi chabaziami, tradycyjnie pytając, dlaczego nie strzelaliśmy. Po takim marszu albo nie był zmęczony w ogóle, albo odzyskiwał siły już po pięciu minutach jazdy samochodem. Lubiał polować z ziemi lub wchodząc na drzewa, a to potrafił po mistrzowsku.

Kilkanaście lat temu, gdy Roman miał lat 82, a ja 28, zapolował w głuszy – bez dróg, bez ambon (ja poszedłem w teren bardziej ucywilizowany na ambonkę). Gdy już po ciemku podjechałem po niego, kończył patroszyć drugiego dzika. Okazało się, że strzelił dwa duże wycinki z drzewa nad kanałem. Miesiąc później zaproponował, żebym ja poszedł w to miejsce, bo dziki się tam kręcą. Zaszedłem i próbowałem przez 20 minut bezskutecznie wdrapać się na to drzewo. W końcu zdyszany i z urażoną dumą usiadłem pod nim. Nic nie strzeliłem.

Wiele lat wcześniej, gdy byłem dzieckiem, zdarzyła się inna sytuacja. W zimne majowe popołudnie

polowaliśmy z tatą i Romanem na koziołki. Szliśmy wzdłuż kanału i Roman zdecydował, że siądzie na brzozie nad kanałem. My poszliśmy dalej na ambonkę. Wracając po ciemku, spotkaliśmy Romana, który podszedł do nas cały mokry. Okazało się, że jak tylko usiadł na gałęzi, ta złamała się i wpadł do kanału, zanurzając się w wodzie całkowicie. Nie chciał nas już odwoływać, więc wszedł ponownie na brzozę i prze-moczony do suchej nitki marzył tak do wieczora.

Zresztą Roman zawsze był bardzo twardy – wytrzymały. Już w erze telefonów komórkowych nieraz siedzieliśmy na zasiadkach przy kilkunastostopniowym mrozie. Wracał do samochodu przemarznięty, trzęsąc się. Na moje słowa, że mógł przecież dzwonić, to byśmy wrócili, odpowiedź miał zawsze podobną: – Nie po to wychodziliśmy!

Po takim wyjściu wracaliśmy do „budy” (tak nazywaliśmy mieszkalny barakowóz stojący w naszej bazie myśliwskiej) i piliśmy grzane wino, pogryzając chlebem z masłem i czosnkiem. Był to taki nasz rytuał myśliwski. Gdy polowaliśmy jeszcze z tatą, a ja nie piłem alkoholu, obaj panowie jedli chleb z czosnkiem, popijając mocniejszymi trunkami. Gdy już wszedłem w wiek pozwalający na spożywanie napojów wysokowych, stałem się szybko entuzjastą przedniego wina domowej roboty Romana. Szybko też wyspecjalizowałem się w doprawianiu tegoż wina na grzańca i chcę powiedzieć, że Roman zdecydowanie chętnie



niej pił wino ze mną niż mocniejsze trunki z tatą. Od tej pory było dla nas oczywiste, że pobyt w „budzie” rozpoczynamy od chleba z czosnkiem i wina. Oficjalnie działało się tak dopiero po powrocie z wyjścia, a jak było w rzeczywistości, pozostawiam łatwym domysłom Kolegów.

W trakcie takiej biesiady opowiadaliśmy sobie najprzeróżniejsze historie łowieckie. Roman wspominał pierwsze zapamiętane polowanie, na którym był ze swoim ojcem. Miał wtedy sześć lat, szli zimą przez ośnieżone pola, a raczej tato szedł, a mały Romek truchtał. Ojciec miał dubeltówkę. Nagle zza zamarznętej grudy ziemi poderwał się zając. Tato złożył się, strzelił i kot przekoziółkował po śniegu. Jest to obraz polowania, który Romanowi najgłębiej utkwił w pamięci i który najchętniej wspomina do dnia dzisiejszego. Kilka lat później, już jako gimnazjalista, sam upolował zająca i z dumą zaniósł go jednemu ze swoich profesorów. Nie był to jego pierwszy zwierz, jednak celny strzał tego dnia i wymyślony przez niego, jako ucznia, świetny prezent dla profesora pozostał w pamięci Romana również trwałe ślad.

Przed wojną Roman miał dobrze wyszkolonego psa myśliwskiego – wyżła. Był świetnym aporterem. Wiedzano o tym w miejscowości, w której mieszkał. Po wkroczeniu Rusków jakiś oddział stacjonował w tej miejscowości. Chcieli oni zapolować na kaczki, więc jeden z nich przyszedł pożyczyć psa. Roman wyżła pożyczył (alternatywnie mógł zostać odstrzelony, a Rusek i tak by psa „pożyczył”) i więcej go nie widział. Pies został najprawdopodobniej przez „myśliwych” zastrzelony.

Opowiadał o polowaniach w górach, na głuszce i cietrzewie, kaczki i dzikie gęsi, o rykowiskach, o zmarzniętych okazach strzelenia byka.

Takich wzajemnych opowieści były setki. Występowała w nich jedna prawidłowość – w miarę ubywania wina, opowieści się powtarzały, stając się coraz barwniejsze i bardziej dynamiczne. Powyższe wersje pochodzą z początków biesiad, są zatem najmniej doprawiane grzonym winem.

Rytuály, takie jak te z grzańcem, były dla Romana bardzo ważne. Np. dzień świętego Huberta zawsze u niego wypadał 3 listopada. Niezależnie zatem od polowania, które odbywało się w kole, 3 listopada Roman był w lesie, palił ognisko, piekł przy nim kiełbaskę, ziemniaki, popijał gorącą herbatą, po czym szedł na wieczorne wyjście. Szybko stało się to również moim zwyczajem.

Ulubionym polowaniem Romana (a także moim) było polowanie w kwietniu na słonki. Roman mówił, że całą zimę na nie czekał. Było to pierwsze wiosenne wyjście, gdy wszystko po zimie budziło się do życia. Uwielbiał zaszyć się gdzieś w kniei, gdzie był ciąg słonek, słuchać rozszczebiotanych ptaków, a gdy te cichły, nasłuchiwać delikatnego chrapania słonki. Strzał był trudny, ale gdy byliśmy we trójkę (z tatą), to zawsze ktoś coś strzelił (tzn. albo Roman, albo ja, bo tato mimo intensywnego polowania strzelił w życiu jedną lub dwie słonki). A po polowaniu wracaliśmy do „budy” na grzańca.

Roman, gdy już komuś zaufał, był bardzo przyjazny i oddany. Miał szczególne poczucie humoru – nieco złośliwe, uszczypliwe, również w stosunku do towarzyszy łowów. Najczęściej zadawał lekko złośliwe pytanie, niby z ciekawości, w którym była już odpowiedź. Stąd jeżeli ktoś był zakompleksiony lub miał zbyt rozwinięte ego, nie czuł się w towarzystwie Romana zbyt dobrze.

Ja i mój tata czuliśmy się jednak z nim świetnie. Przeżyliśmy wspólnie wiele przygód łowieckich związanych z całokształtem polowania: strzelaniem, dochodzeniem zwierz, ściąganiem go do samochodu, wyciąganiem pojazdu z błota, śniegu, pchaniem go, pozostawianiem w lesie i wracaniem na piechotę, błędzeniem po lesie, spadaniem z drzew, siedzisk, różnego rodzaju nieporozumieniami (nie mówię tu o konfliktach, ale o niezrozumieniu intencji drugiej strony lub błędnym wykonaniu powziętych planów), które skutkowały kolejnymi przygodami i oczywiście wspólnym biesiadowaniem w „budzie”, lesie czy w leśniczówkach.

Roman Gołębiowski urodził się 2 marca 1918 r. w okolicach Stryja (obecnie teren Ukrainy). W 1945 r. przyjechał do Wrocławia, gdzie 12 lipca podjął pracę w administracji Lasów Państwowych i pracował tam jako kierownik zespołu radców prawnych do 30.06.1983 r. W 1948 r. ukończył na Uniwersytecie Wrocławskim studia prawnicze.

W Polskim Związku Łowieckim pełnił m.in. funkcje członka Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, sędziego Wojewódzkiego Sądu Łowieckiego, prezesa Koła Łowieckiego „Leśnik” (1959–1962 i 1970–1986), członka Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej, prezesa Okręgowego Sądu Łowieckiego oraz członka Wojewódzkiej Komisji Rewizyjnej.

Został uhonorowany wieloma odznaczeniami łowieckimi: Brązowy Medal Zasługi Łowieckiej (1966), Srebrny Medal Zasługi Łowieckiej (1972), Złoty Medal Zasługi Łowieckiej (1980), ZŁOM (1994).

Wrocławscy Członkowie Honorowi Polskiego Związku Łowieckiego

Teksty: Jacek Seniów

Wiktor Szukalski

Członek honorowy PZŁ Kol. Wiktor Szukalski urodził się 6 maja 1925 roku na Pomorzu. Łowiectwa uczył się pod kierunkiem ojca, posiadającego własny obwód łowiecki. Po wybuchu wojny został wysiedlony z rodzinnego domu. Musiał utrzymywać się z pracy fizycznej i uzupełniać wykształcenie na tajnych kompletach. Koniec wojny zastał go w Gorcach, w Małopolsce. Z powodu zmian ustrojowych w Polsce powrót do rodzinnego Niechorza był wykluczony, w związku z czym w 1946 roku przybył do Wrocławia, gdzie podjął pracę w Oddziale Wojewódzkim Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Tu postanowił kontynuować swoją pasję łowiecką i przyjęty został do najstarszego na Dolnym Śląsku Koła Łowieckiego im. św. Huberta. W 1948 roku, po długim oczekiwaniu, dostał pozwolenie na broń i zaczął polować w doborowym towarzystwie, bowiem do Koła Łowieckiego im. św. Huberta należeli tacy znani działacze łowieccy, jak Stefan Sochocki, Stanisław Piaskowski (wojewoda dolnośląski, a potem wiceprezes NRŁ), organizator pierwszej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej na Dolnym Śląsku Tadeusz Igelstrom-Szol, ppłk Edward Czerny, Józef Jastrzębiec-Szczepkowski, później redaktor naczelny „Łowca Polskiego”, inż. Antoni Sikorski, zdobywca legendarnego złotomedałowego wilka, i wielu innych. Wkrótce także włączył się w nurt działalności społecznej w związku, najpierw w Powiatowej Radzie Łowieckiej, a następnie w Wojewódzkim Sądzie Łowieckim i Komisji Propagandy WRŁ. Jednocześnie zaangażował się w akcję inwentaryzacji stanowisk głuszca na Dolnym Śląsku. 1 stycznia 1955 roku powołano go na urzędującego członka prezydium Wojewódzkiej Rady Łowieckiej; odtąd w strukturach związku pracował etatowo do przejścia na emeryturę 31 grudnia 1995 roku. Pełnił funkcje sekretarza Zarządu Wojewódzkiego PZŁ, wiceprezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, łowczego wojewódzkiego. Ponadto wybierano go do władz naczelnych, w których od 1961 roku pełnił funkcję członka Naczelnej Rady Łowieckiej, członka Komisji Hodowlanej NRŁ oraz członka Komisji Trofeów i Wy-

staw, a także członka Kolegium Odznaczeń Łowieckich. W latach 1995-2000, decyzją Krajowego Zjazdu Delegatów PZŁ, był przewodniczącym Kolegium Odznaczeń Łowieckich.

Za działalność na niwie łowieckiej otrzymał wiele odznaczeń łowieckich i regionalnych: posiada Brązowy, Srebrny i Złoty Medal Zasługi Łowieckiej, Medal św. Huberta, Złom, a także wysokie odznaczenia państwowe: Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Komandorski, Oficerski i Kawalerski Orderu Polonia Restituta, a także odznaczenia regionalne. W 1995 roku Krajowy Zjazd Delegatów PZŁ nadał mu godność członka honorowego PZŁ. Można powiedzieć, że jako myśliwy jest człowiekiem w pełni spełnionym; strzelał medalowe jelenie i kozły, polował na głuszce i cietrzewie, ma też na koncie marzenie wielu myśliwych – skrzekota. Kol. Szukalski jest legendą i żywą historią dolnośląskiego łowiectwa; uczestniczył w większości inicjatyw oraz przedsięwzięć organizacyjnych i hodowlanych, jakie miały miejsce w XX wieku, i nadal służy radą oraz swym ogromnym doświadczeniem dolnośląskim działaczom łowieckim.

Wśród wielu wyróżnień, które go spotkały, najbardziej ceni sobie funkcję chorążego sztandaru Polskiego Związku Łowieckiego w 1993 roku podczas Kongresu CIC zorganizowanego w Krakowie w związku z obchodami 70-lecia Związku, Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i otrzymany w 1995 roku, w momencie przechodzenia na emeryturę, z rąk ówczesnego prezesa Naczelnej Rady Łowieckiej Alfreda Hałasy tytuł Honorowego Łowczego Wojewódzkiego.

Chorąży sztandaru Polskiego Związku Łowieckiego, Kraków 1993



Z Kolegą Wiktorem Szukalskim rozmawia Jacek Seniów

Jak został Pan myśliwym?

– U nas w rodzinie wszyscy polowali, włącznie z moją mamą. Pierwszego zająca ustrzelilem, jak miałem dziewięć lat. To było wtedy normalne, nikt nie dziwiło. Tu, na zdjęciu z 15 grudnia 1934 roku, ten w czapce ledwie sięgający do ramion kompanii (a czapka była wysoka!), to ja. Potem przyszła wojna, więc w zasadzie nie polowałem. Raptem jeden sukces, dwa kozły strzelone śrutem podczas „małego pędzonka” w prezencie od leśniczego. Wtedy strzelało się sarny śrutem na polowaniach zbiorowych. Z kaczkami miałem trochę bardziej przykrą przygodę. Teren u nas na Pomorzu był pofałdowany. W jednym z obniżień oczko wodne, a na nim para kaczek. Posuwam się ostrożnie, jak Indianin, pełen emocji. W tym momencie nic dla mnie poza kaczkami nie istniało. Strzelam. Trafiam kaczora. Przyjechałem do domu, ale już



po drodze coś mi z tym ptakiem nie pasowało – jakiś taki duży był. Siedzimy przy stole, jemy obiad. Wtem ktoś przyjeżdża, psy szczekają. Słyszę czyjąś głośną rozmowę z ojcem. Okazuje się, że sąsiad wczoraj na wystawie kupił zarodowego kaczora. Skończyło się więc dla mnie laniem.

Jak mówiłem, w czasie wojny w zasadzie nie polowałem, ale za to dwa lata pracowałem w lesie.

W 1941 roku wysiedlono nas do Guberni. Zamieszkałem u ciotki, matki Andrzeja Zawady, tego himalaisty. Po wojnie, gdy w 1948 roku zdawałem egzamin łowiecki, zaprzyjaźniłem się z Ryszardem Małaszkiwiczem, szefem sztabu generała Sosabowskiego, który egzaminował mnie z etyki i bezpieczeństwa na polowaniu. Gdy zmarł, jego syn podarował mi, zgodnie z wolą ojca, zrobiony przez niego z niemieckiego bagnetu kordelas myśliwski. Z uwagi na „negatywne” pochodzenie dopiero z końcem 1949 roku dostałem pozwolenie na broń. W formularzu były dwie rubryki, w których urzędnik udzielający zgody winien był zaznaczyć: broń kulowa albo śrutowa. Przygotowując moje papiery, pewnie przez nieuwagę, nie zaznaczył żadnej broni. Co kupić? Wybrałem dryling. Zarejestrowano go, bo – tak po latach sobie myślę – sprawca zorientował się, że zrobił błąd i wołał to ukryć niż prostować. Kiedy w 1953 roku całej Radzie Łowieckiej cofnięto pozwolenia na broń kulową, mnie nie. Czyjaś pomyłka zaprocentowała.

Czyli łowiectwo miał Pan w genach, po rodzicach? Potem zajął się Pan nim zawodowo.

– Tak, od 1 stycznia 1955 roku zacząłem pracę etatową w Polskim Związku Łowieckim. Wytrwałem tam nieprzerwanie do 31 grudnia 1995 roku. Wtedy była tylko Wojewódzka Rada Łowiecka, nie było Zarządu. Jeden z członków prezydium Rady, oprócz pełnienia funkcji skarbnika, mógł być urzędującym członkiem WRŁ. W 1956 roku Rada została rozwiązana, a ja zostałem komisarycznym prezesem.

Od kiedy istnieje taka struktura, jak obecnie: Rada i Zarząd?

– Od 1976 roku, kiedy ustanowiono nowy podział administracyjny kraju i zniknęły duże województwa, a powstały u nas mniejsze: wrocławskie, legnickie, wałbrzyskie i jeleniogórskie.

Pana ulubione polowanie?

– Głuszce, głuszce i lisy.

Dlaczego głuszce?

– Nie pamiętam, ile miałem lat, jeszcze nie umiałem czytać, ale chętnie oglądałem rysunki. Dostałem wtedy „Rok myśliwego” Włodzimierza Korsaka i właśnie tam mnie ten głuszcak kresowy zauroczył. Oglądałem ryciny, a wyobraźnia pracowała. Oj, ciężko pracowała. Czytano mi książkę, a potem sam już się w nią zagłębiałem. Chyba w 1934 roku znajomy mojego ojca, weterynarz, upolował w Borach Tucholskich głuszca i przywiózł do nas. Ja go głaskałem i wachałem ten jego zapach – igliwia, żywicy. Po wojnie, jak już zostałem członkiem koła im. św. Huberta, zaprzyjaźniłem się ze Stefanem Grigajtisem. We mnie głu-



szec siedział bardzo głęboko, w nim też. Zaczęliśmy odkrywać dolnośląskie tokowiska. W sumie jakieś 28 stanowisk. Mam mapkę z tamtych czasów. Głównie były to Bory Dolnośląskie, potem Szklarska Poręba, Świeradów, Szczytna, Duszniki i Masyw Śnieżnika. Szczególnie Mały Śnieżnik, gdzie wyprawiałem się z prof. Jerzym Krupką. Pierwszego głuszca trafiłem w 1953 roku w nadleśnictwie Wierzbowo, obecnie Chocianów. Tak więc przede wszystkim głuszce, potem lisy, na norach.

A co z grubą zwierzyną?

– Z tej zwierzyny to jeleń byk. W ogóle nie polowałem na dziki nocą. Czasem, tylko w pędzeniach, ale tam nie ma wiele okazji do strzelenia okazałego odyńca. Natomiast byłem na każdym rykowisku. I zawsze polowałem na konkretnego BYKA, a nie na byki. Niedużo ich strzeliłem, ale w tym dwa srebrnomedallowe i cztery brązowomedallowe. Głównie w nadleśnictwie Chocianów.

Panie Wiktorze, a przygoda łowiecka, która jakoś szczególnie utkwiła w pańskiej pamięci?

– Hm, trudno tak od razu, ale może coś z nutą humorystyczną. 1971 rok, przyjechałem się wtedy bliżej z Łowczym Wojewódzkim w Olsztynie. Do mnie przyjeżdżał na kaczkę, od kiedy zobaczył ich setki na rzeczce Ślęzie. W rewanżu zaprosił mnie do siebie na tereny słynące bykami. Po południu, piątego września, przyjeżdżamy do jakiegoś koła. Wieś wśród lasów, urokliwa koliba, a w niej wesołe towarzystwo, na gazie. Odstrzał dostałem, jak to nazywam, „na wagon zwierzyny”. Nagły telefon odwołuje moją koleżkę do obowiązków służbowych, a ja stwierdzam, że niezbyt miło mnie tu widzą. Ulokowałem się w jakimś pokoiku na stryszku, przebrałem się, złożyłem broń i nie wzbudzając żadnego zainteresowania u rozbawionego towarzystwa, poszedłem do lasu. Nikt się tym nie przejął, a ja nie miałem pojęcia o tej okolicy. Głównymi duktami, aby się nie zgubić, zagłębiłem się w gęstwinę. W pewnym momencie po jakichś trzydziestu–czterdziestu minutach wędrówki widzę obniżenie terenu. Schodzę tam, tak na nos, może dla urozmaicenia, i trafiam na kąpielisko jakiegoś zwierza, które przypomina mi dołek rujowy daniela. W nim widzę trop, który wygląda na krowi. Zastanawiając się nad tym tropem, odwracam w lewo głowę i... widzę łosia badylarza. Strzelam. Chwieje się. Chcę strzelić drugi raz, ale on pada. W tym momencie już porządnie ciemnieje i zaczyna się ulewny deszcz. Wobec tego postanawiam zostawić łosia i wrócić po podwodę. Ale jak to zrobić, w ciemności i w ulewie? Pamiętałem, że na jakiejś krzyżówce, gdy skręcałem, zaznaczyłem to miejsce kawałkiem papieru toaletowego. Koniec końców sprostałem temu zadaniu, które wydało mi się dużo większym wyzwaniem, niż

strzelenie łosia. Przychodzę, ale towarzystwo na mnie nie reaguje. Usiłuję się „przebić” tłumacząc, że strzeliłem łosia. W końcu kilka grubszych słów powoduje, że prezes zajął się moją osobą. Słucha. Ucisza towarzystwo i uroczyście przemawia: „Panowie, ogłaszam, że w naszym kole padł trzeci koń, ale tym razem myśliwy przyznaje się do czynu sam”. W końcu rozbawione towarzystwo, zabierając z sobą bar, postanawia wyruszyć do konia. Min ich nie muszę chyba opisywać, gdy ujrzeli... łosia. Rano dzwoni łowczy koła i mówi do prezesa: „Nie wiem, co się tam działo, ale wykonaliśmy prawie cały plan pozyskania w ten weekend. Proszę gościowi skreślić zwierzynę z odstrzału”. I tak łos stał się tego poranka tłem dla konia.

Po tylu latach polowania w tak różnych terenach, z tak wieloma ludźmi, pracy zawodowej w Polskim Związku Łowieckim, co by Pan przekazał nam, młodszym myśliwym?

– To wbrew pozorom trudne pytanie. Ale myślę, że możliwość polowania to wielki dar, którego możemy dostąpić. Do polowania powinniśmy podchodzić jako bardzo ważnego elementu łowiectwa: krzewienia kultury, pielęgnowania tradycji, zwyczajów, zasad etyki oraz kultu patronów. Myśliwi to ludzie znający obiektywne prawa rządzące przyrodą, dostrzegający piękno Natury.



Zdjęcia: Archiwum Wiktora Szukalskiego i Tomasz Stasiak

Edward Kielman

Członek honorowy PZŁ. Kol. Edward Kielman należał do tego pokolenia Polaków, którzy w młodości zamiast myśliwskiej strzelby musieli wziąć w rękę wojskowy karabin. Urodził się w Krakowie 7 kwietnia 1919 roku. W 1938 roku zdał egzamin maturalny i w rok później ukończył Szkołę Podchorążych w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu. Wziął udział w kampanii wrześniowej 1939 roku, unikając niewoli, wrócił w rodzinne Krakowskie, gdzie związał się z podziemnym ruchem niepodległościowym. W 1943 roku, pod pseudonimem „Czarnota”, awansowany został do stopnia podporucznika. Walczył w krakowskim oddziale partyzanckim „Setka” (12 pp. AK). Brał udział w szeregu starć z Niemcami oraz akcjach dywersyjnych. M.in. uczestniczył w uwolnieniu z hitlerowskiego więzienia w Kalwarii Zebrzydowskiej 28 września 1944 roku gen. Brunona Edwarda Olbrychta, pseudonim „Olza”, dowódcy Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Śląsk Cieszyński”. Tę brawurową akcję opisał Stanisław M. Jankowski w książce „Strzały pod więzieniem” (Warszawa, 1992). Odznaczony został 15 października 1944 roku Krzyżem Walecznych po raz pierwszy, 11 listopada 1944 roku Krzyżem



Od lewej Zygmunt Kruk, Edward Kielman, Zbigniew Nowacki i Wiktor Szukalski



Edward Kielman i Wiktor Szukalski





Edward Kielman wśród myśliwych
KŁ „Remiza” Wrocław



Walecznych po raz drugi, 20 stycznia 1945 roku Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. 2 listopada 1945 roku zwerfikowany został do stopnia kapitana, ze starszeństwem od 1 stycznia 1945 roku.

Po wojnie przeniósł się na Dolny Śląsk, do Wałbrzycha. Tam wstąpił do PZŁ i od 1950 do 2 listopada 1952 roku pełnił funkcję łowczego powiatowego w Wałbrzychu. Po przeniesieniu się do Wrocławia podjął pracę w spółdzielczości. Na Wojewódzkim Zjeździe Delegatów PZŁ w 1953 roku wybrany został na członka Wojewódzkiej Rady Łowieckiej we Wrocławiu, w składzie której działał nieprzerwanie do 1990 roku. Od 1963 do 1981 roku pełnił funkcję wiceprezesa WRŁ, faktycznie kierując pracami rady, gdyż osoby desygnowane przez władze partyjne na funkcję prezesów były nimi z reguły nominalnie. W 1981 roku Kol. Edward Kielman wybrany został na prezesa WRŁ we Wrocławiu. Na Wojewódzkim Zjeździe Delegatów PZŁ we Wrocławiu w 1990 roku zrezygnował z pracy w organach zrzeszenia ze względu na pogarszający się stan zdrowia. Zaznaczyć należy, że pracę w wojewódzkich organach PZŁ łączył z pracą

w Naczelnej Radzie Łowieckiej: w latach 1963-1969 był zastępcą członka NRŁ, w latach 1969-1990 członkiem NRŁ. Pełnił również funkcję członka Głównej Komisji Rewizyjnej, członka Komisji Hodowlanej NRŁ oraz przewodniczącego Komisji Ekonomicznej NRŁ. Krajowy Zjazd Delegatów PZŁ w 1986 roku nadał mu godność członka honorowego PZŁ. Odznaczony został Srebrnym (1952) i Złotym (1955) Medalem Zasługi Łowieckiej, Złotem (1969) oraz Medalem św. Huberta (1993, pośmiertnie). Zmarł 26 I 1993 roku, pozostawiając po sobie dolnośląską organizację łowiecką wśród najlepszych w kraju i pamięć o prawym i dzielnym człowieku, gorącym patriocie oraz największego formatu działaczu łowieckim.



Zdjęcia: Archiwum Wiktora Szukalskiego i KŁ „Remiza” Wrocław

Witold Koprowicz

Członek honorowy PZŁ Kol. Witold Koprowicz działalność w związku rozpoczął na terenie Wałbrzycha, wstępując do Górniczego Koła Łowieckiego „Knieja”. Kierował nim w latach 1956-1960, a następnie przez wiele lat przewodniczył wrocławskim kołom łowieckim „Ostoja” i „Łowiec”.

Działalność Kol. Witolda Koprowicza była wielokierunkowa, a jej efektami były m.in. modernizacja drogi gruntowej do OHZ w Bielanych Wrocławskich, która polegała na ustabilizowaniu jej tłuczniem i spryskaniu masą asfaltową, co spowodowało, że służyła wiele lat potrzebom ośrodka. Będąc znakomitym negocjatorem, miał duży udział w wynegocjowaniu z Urzędem Wojewódzkim we Wrocławiu środków finansowych na akcję zasiedlenia bażantami obwodów łowieckich, dzięki czemu urząd zwracał kołom łowieckim 50% kosztów zakupu materiału hodowlanego. W okresie drastycznego spadku pogłowia zwierzyny drobnej w połowie lat 90. XX wieku, działając w Wojewódzkim Sejmiku Łowieckim, doprowadził do poparcia starań PZŁ o środki finansowe na zakup zajęcy i kuropatw przez Wydział Środowiska Urzędu Wojewódzkiego i Komisję Ochrony Przyrody, a także skierowanie o nie wniosku do Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Przez okres dwóch kadencji reprezentował Polski Związek Łowiecki w Komisji Ochrony Przyrody przy wojewodzie dolnośląskim. Jego działalność, szczególnie na polu ochrony środowiska przyrodniczego w obwodach łowieckich, cieszyła się dużym uznaniem nawet wśród przeciwników PZŁ.

W organach PZŁ pełnił Kol. Witold Koprowicz liczne i odpowiedzialne funkcje: w latach 1957-1960 był łowczym powiatowym w Wałbrzychu, w okresie 1960-1976 członkiem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej we Wrocławiu, w latach 1976-1981 prezesem WRŁ we Wrocławiu, w latach 1981-1990 ponownie członkiem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, zaś od 1995 roku do 2000 roku pełnił funkcję wiceprezesa WRŁ we Wrocławiu, będąc równocześnie członkiem Głównej Komisji Rewizyjnej PZŁ. W latach 2000-2005 przewodniczył Wojewódzkiemu Sejmikowi Łowieckiemu Województwa Dolnośląskiego. Odznaczony został Brązowym, Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi Łowieckiej oraz Złotem.



Witold Koprowicz otrzymuje Złotem oraz gratulacje od inż. Czarnobila



Na polowaniu zbiorowym w KŁ „Ostoja”,
łowisko Naroczyce



Urodził się na Mazurach w okolicy Rajgrodu w rodzinie o głębokich korzeniach łowieckich, jak to się mówi „zawsze polujących”. Olbrzymi wpływ na kształtowanie jego łowieckiej osobowości mieli ojciec i dziadek, zaszczipiając mu idee etycznego, prawidłowego łowiectwa rozumianego jako dbałość i szacunek dla przyrody.

Swoich promotorów przerósł zaangażowaniem w rozwój łowiectwa i działalnością organizacyjną w Polskim Związku Łowieckim. Jedną z jego łowieckich ścieżek było strzelectwo. W latach 1964–1968 był czynnym członkiem sekcji strzeleckiej WKS Śląsk Wrocław w konkurencji trap. To okres jego wielu sukcesów w wieloboju myśliwskim.

Jako jeden z pierwszych zaczął stosować na polowaniach zbiorowych optyczne przyrządy celownicze, osiągając mistrzowskie wyniki. Kierując pracami kolejnych zarządów kół łowieckich, kładł duży nacisk na właściwe zagospodarowanie obwodów i ochronę zwierzyny. Częste wyjazdy do kniei umożliwiały mu poznanie najskrytszych tajemnic jej życia, zdobycie umiejętności przewidywania jej zachowania się. W efekcie prowadziły do licznych spotkań, które nie wynikały z przypadku lub łutu szczęścia, a solidnej wiedzy o behawiorze zwierzyny.

Za swoje największe sukcesy myśliwskie nie uważał zdobytych trofeów, choć były wśród nich takie jak złotomedalowy byk z okolic Żmigrodu czy prawie 240-kilogramowy odyniec, ale rzesze wychowanych młodych myśliwych. Świadomych wagi ochrony środowiska naturalnego, etycznych, prawych, bezpiecznie polujących, a nie tak zwanych „strzelaczy”.

Zdjęcia: Archiwum Leszka Koprowicza



Polowanie w towarzystwie dr. Romana Kostołowskiego, znanego wrocławskiego laryngologa dziecięcego



Popołudniowy wyjazd na kuropatwy w latach sześćdziesiątych z inż. Edwardem Grabowskim, wieloletnim łowczym KŁ „Ostoja”



Zniszczone przez kwaśne deszcze ukochane łowisko ojca



Użytki ekologiczne

Przykłady działań w obwodach
Koła Łowieckiego „Jeleń” w Oleśnicy

Tekst i zdjęcia: prof. dr hab. Dariusz Tarnawski

Jak napisał w pierwszym numerze „Łowca Polskiego” z 2015 roku jego redaktor naczelny Paweł Gdula, *nadchodzi czas na mądrą promocję łowiectwa w społeczeństwie przez naszą kulturę, nasze działania na rzecz ochrony przyrody i zdrową dziczyznę. Mamy dobre prawo łowieckie i jest nas coraz więcej. Jesteśmy największą organizacją ekologów i stajemy się ważnym partnerem wielu programów ochronnych. Zmiany, jakie dokonują się na naszych oczach w podejściu do ochrony przyrody, nie są zagrożeniem dla myśliwych tylko wielką szansą współczesnego łowiectwa. Powinniśmy być dumni z dotychczasowych sukcesów i umieć je pokazywać na zewnątrz oraz wykorzystywać w edukacji całego społeczeństwa. W przyrodzie jedno jest pewne – wszystko się zmienia; jeszcze wiele razy nas ona zaskoczy. W podejściu do środowiska naturalnego zachodzą w ostatnich dziesięcioleciach ogromne zmiany – na pierwszy plan wybija się idea nieingerowania. Taki całkowity zwrot w myśleniu jest następstwem wielu niepowodzeń człowieka w poprawianiu natury.*

W tak pojętej czynnej ochronie przyrody mogą pomagać myśliwym użytki ekologiczne, które w powiązaniu z obszarami Natura 2000 tworzą korytarze ekologiczne tak ważne dla migrujących zwierząt i przeciwdziałające izolacji ich populacji.

Ochrona przyrody jest obowiązkiem każdego obywatela, organów administracji publicznej, a także jednostek organizacyjnych, osób prawnych i fizycznych, prowadzących działalność wpływającą na przyrodę. To może nastąpić między innymi przez wyznaczanie obszarów chronionego krajobrazu, stanowisk dokumentacyjnych, użytków ekologicznych i zespołów przyrodniczo-krajobrazowych oraz uznawanie cennych obiektów za pomniki przyrody.

Według Ustawy o ochronie przyrody z 2004 roku (art. 42) użytkami ekologicznymi są „zasługujące na ochronę pozostałości ekosystemów, mających znaczenie dla zachowania różnorodności biologicznej – naturalne zbiorniki wodne, śródpolne i śródleśne oczka wodne, kępy drzew i krzewów, bagna, torfowiska, wydmy, pła-

ty nieużytkowanej roślinności, starorzecza, wychodnie skalne, skarpy, kamieńce, siedliska przyrodnicze oraz stanowiska rzadkich lub chronionych gatunków roślin, zwierząt i grzybów, ich ostoje oraz miejsca rozmnażania lub miejsca sezonowego przebywania”. Użytki ekologiczne uwzględnia się w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego i uwidacznia w ewidencji gruntów. Taką formę ochrony przyrody może wprowadzać Rada Gminy w uzgodnieniu z Regionalną Dyrekcją Ochrony Środowiska.

Do czasu podjęcia aktywnych działań przez członków Wojskowego Koła Łowieckiego „Jeleń” z Oleśnicy, w powiecie oleśnickim w 2002 roku istniał jeden obiekt chroniony o randze rezerwatu przyrody oraz tylko jeden użytek ekologiczny „Leśne Stawki” koło Goszcza (chroniący żółwia błotnego), mimo że dalsze, interesujące florystycznie i faunistycznie oraz krajobrazowo miejsca w pełni na to zasługiwały. Takie ciekawe obszary znajdowały się w pobliżu miejscowości Boguszyce, Spalice, Sokołowice i Brzezinka koło Oleśnicy. Jeszcze przed 50 laty istniały tutaj naturalne bagna i wilgotne łąki z bardzo bogatą florą i fauną, a rzeka Oleśnica i Potok Boguszycki płynęły przez nie krętymi korytami. Na skutek melioracji przeprowadzonych na masową skalę w latach sześćdziesiątych XX wieku bagna częściowo zostały osuszone, a bieg rzek wyprostowany. Jednak nieduże ich fragmenty jeszcze się zachowały, a niektóre tereny na skutek zaprzestania gospodarowania przez właścicieli ulegały powolnej sukcesji.

Badania inwentaryzacyjne tego terenu zostały podjęte na szerszą skalę przez kilku członków Wojskowego Koła Łowieckiego „Jeleń” z Oleśnicy we współpracy z naukowcami Uniwersytetu Wrocławskiego w roku 2002 (obserwacje ornitologiczne i zbieranie niektórych, charakterystycznych grup bezkręgowców), a w 2003 roku rozszerzone o inwentaryzację płazów, gadów i ssaków oraz roślin. Wtedy też stało się bardzo celowe uchwycenie tych zmian, jednocześnie została przygotowana pełna dokumentacja potrzebna do utworzenia kilku użytków ekologicznych oraz podjęcia działań przywracających stan pierwotny.

Dzięki tym inicjatywom i badaniom zostały opracowane wnioski i powołane użytki ekologiczne: „Mokradła Boguszyckie” (o pow. 36,30 ha; Dz. Urz. Woj. Dol. z 2005 r., nr 7, poz. 198; fot. 1, 2), „Ols Spalicki” (4,95 ha; Dz. Urz. Woj. Dol. z 2005 r., nr 67, poz. 1440; fot. 3), „Olsy Sokołowickie” (77,98 ha; Dz. Urz. Woj. Dol. z 2005 r., nr 67, poz. 1441; fot. 4, 5), „Las Boguszycki” (70,27 ha; (Dz. Urz. Woj. Dol. z 2007 r., nr 53, poz. 558) i „Polana Grochowska” (54,33 ha; (Dz. Urz. Woj. Dol. z 2007 r., nr 116, poz. 1538); ostatni użytek ekologiczny jest położony poza obwodami WKŁ „Jeleń” na terenie powiatu trzebnickiego.



Fot. 1



Fot. 2



Fot. 3



Fot. 4

Dzięki tym działaniom łącznie jest ustawowo chronionych w formie użytków ekologicznych ponad 250 hektarów (co stanowi około 5% powierzchni tych obwodów); zwierzyna łowna znalazła tutaj swoje ostoje. W 2011 roku cztery pierwsze obiekty w całości znalazły się w obszarze Natura 2000 „Dolina Oleśnicy i Potoku Boguszyckiego”, potwierdzając swoje znaczenie dla środowiska naturalnego. Obszar ten został powołany przede wszystkim dla ochrony bardzo rzadkiego owada – czerwończyka fioletka *Lycaena helle* (fot. 6) i jego siedlisk, wilgotnych łąk z rdestem węzownikiem – rośliną żywicielską gąsienic tego motyla.

Jednym z najważniejszych zadań w ochronie przyrody jest tworzenie i utrzymanie systemu obszarów i obiektów o dużym znaczeniu dla zachowania bioróżnorodności. Na poziomie lokalnym rolę taką mogą właśnie spełniać użytki ekologiczne. W planowanym użytku ekologicznym należy założyć, że obszar ten po pewnym czasie ulegnie naturalnej rewaloryzacji (czyli zostanie tam przywrócony jego pierwotny stan). Prace renaturyzacyjne mają na celu przywrócenie utraconych siedlisk rzadkim roślinom i zwierzętom poprzez stworzenie odpowiednich warunków do rozrodu i żerowania. Tworzone użytki ekologiczne zostały zaprojektowane z myślą o rzadkich grupach ptaków związanych z wilgotnymi łąkami i podmokłymi terenami: siewkowatych, chruściełach, kaczkach oraz o stworzeniu miejsc lęgowych dla płazów. Przez przywrócenie terenów podmokłych w krajobrazie zostanie wzbogacona baza pokarmowa dla bocianów i ptaków drapieżnych. W obniżeniach terenu dojdzie do odtworzenia turzycowisk, które są ważnym siedliskiem niezliczonej liczby roślin i zwierząt. W okresie jesieni, zimy i wczesnej wiosny z przygotowanych terenów skorzystają migrujące

ptaki, a niektóre z nich zatrzymają się tu na okres zimy (np. błotniak zbożowy *Circus cyaneus*, myszołów włośchaty *Buteo lagopus*).

Od 2005 roku członkowie WKŁ „Jeleń” w Oleśnicy zaczęli wykorzystywać te tereny do szeroko pojętej edukacji przyrodniczej wśród młodzieży szkolnej. Użytki ekologiczne stanowią doskonałe miejsce dla prowadzenia przez uczniów gimnazjów i liceów oraz studentów i naukowców różnego rodzaju obserwacji i badań przyrodniczych. Można tu oceniać liczebność oraz różnorodność ryb, płazów i gadów, prowadzić obserwacje owadów – np. oceniać liczbę występujących gatunków chrząszczy, motyli dziennych czy trzmieli. W celu udostępnienia takich interesujących obszarów do edukacji społeczeństwa konieczne jest wytyczanie ścieżek przyrodniczych i zbudowanie wież do obserwacji ornitologicznych. Tereny bagienne i zbiorniki wodne przyciągają wiele ciekawych ptaków, zarówno lęgowych, jak i przelotnych. Na takich obiektach należy prowadzić stały monitoring, by wcześniej zapobiegać niekorzystnym zmianom.

Bezcelowe jest tworzenie użytków ekologicznych z odwadnianych terenów podmokłych, np. oczek wodnych i torfowisk, jeśli nie zamierzamy zrobić tam zastawek zmniejszających odpływ wody i podnoszących jej poziom. Zwiększenie poziomu wody na takich terenach przyczynia się do znacznego zmniejszenia zagrożenia pożarowego w okolicznych lasach i zwiększa ochronę przeciwpowodziową, w okresach suszy łagodzi jej skutki, a myśliwym umożliwia zwiększenie populacji łownych ptaków wodno-błotnych.

Działania opisane tutaj na przykładzie jednego koła łowieckiego możemy podejmować w wielu innych obwodach, gdyż ciągle w Polsce mamy wiele interesujących przyrodniczo miejsc wymagających naszego zainteresowania i aktywnej ochrony.





Dziki

- nowe spojrzenie?

Tekst: Antoni Przybylski
Zdjęcia: Fotolia

Rozporządzenie Ministra Środowiska z grudnia 2014 roku, zmieniające rozporządzenie w sprawie określenia okresów polowań na zwierzęta łowne, całkowicie znosi w woj. podlaskim ochronę loch i skraca okres ochronny na lochy na pozostałym obszarze kraju o cztery miesiące. Nowy przepis wywołał wśród myśliwych mieszane uczucia. Ale, niestety, stało się. Argumentami uzasadniającymi tak drastyczne posunięcie była rosnąca ilość ognisk ASF na Podlasiu, rosnąca liczebność dzików i szkody wyrządzane przez nie na polach. Ale czy ta kontrowersyjna decyzja spowoduje skuteczne zmniejszenie stanów liczebnych dzika, ograniczy rozmiar szkód i wyeliminuje zagrożenie afrykańskim pomorem świń? Jeśli nie zmienimy dotychczasowego podejścia do zasad gospodarowania dzikiem, to mam co do tego poważne wątpliwości.

Liczebność dzików w Polsce osiągnęła w ostatnich latach niespotykaną wielkość. Według inwentaryzacji na wiosnę 2014 roku, stan liczebny krajowej populacji wyniósł 282,3 tys. osobników, w tym w obwodach PZŁ 258,1 tys. Eksplozja dzików notowana jest w całej Europie – i nie tylko – wszędzie tam, gdzie dziki występują. Wraz ze wzrostem liczebnym dziczych populacji wykonywany jest także coraz wyższy odstrzał, ale nie wpływa to w większym stopniu na zmniejszenie ich stanu. Problem ten jest szeroko dyskutowany na łamach prasy łowieckiej i niezmiennie od wielu lat niepokoi znawców tematu, którzy co dwa lata spotykają się na międzynarodowych sympozjach dotyczących dzika. Ostatnie, dziesiąte już takie sympozjum odbyło się we wrześniu 2014 roku w Słowenii, gdzie 60 specjalistów z 12 krajów przedstawiło najnowsze wyniki swoich prac badawczych (poprzednie sympozja odbyły się w Anglii i w Niemczech).

Szkodnik czy wartościowy składnik ekosystemów?

Historycznie dzik w Polsce był różnie postrzegany. Przez polujących zawsze był pożądanym obiektem myśliwskich doznań, przez niepolujących był uzna-

wany za szkodnika niszczącego uprawy rolne, a dla leśników był i jest sprzymierzeńcem lasu. Dzik stał się również eksponowanym obecnie ponad miarę powodem pewnych rozgrywek politycznych.

W okresie międzywojennym pozyskanie dzików w Polsce było niewielkie i rocznie nie przekraczało 10 tys. osobników. W latach 50. ubiegłego wieku odstrzał kształtował się na poziomie około 10–15 tys., a w latach 60. nie przekraczał jeszcze 20 tys. osobników. W tamtym okresie, w zasadzie do początku lat 70., w miarę stabilna liczebność dzika wynikała przede wszystkim z uboższych niż obecnie warunków żerowych, surowszych zim, znacznie mniejszej liczby osłon oraz lepszej struktury dziczych populacji. Przyrost, jaki przyjmowano przy opracowywaniu planów odstrzału, nie przekraczał 70% stanu wiosennego. Do rzadkości należały przypadki prowadzenia warchlaków przez loszki przelatkowe.

Od połowy lat 70. nastąpił jednak bardziej dynamiczny wzrost liczebny dzików i do roku 1980 odstrzał zwiększył się do 80 tys. osobników. Wzrost pozyskania wymusiły także rosnące szkody wyrządzane przez dziki w uprawach rolnych. Zjawisko to było



często przyczyną restrykcyjnego podejścia do dzika. Po pierwszym wyraźniejszym wzroście liczebności, w 1970 roku w Zarządzeniu nr 35 Ministra Leśnictwa i PD zobowiązano dzierżawców i zarządców obwodów łowieckich do redukcji dzika z pominięciem czasów ochronnych na terenach obwodów łowieckich, w których powierzchnia kompleksów leśnych nie przekraczała 700 ha. W takich obwodach dzików miało nie być. W obwodach z większą powierzchnią lasów ustalono następujące normy pojemności łowisk: w obwodach o pow. leśnej 700–2000 ha od 2 do 7 dzików/1000 ha lasu, natomiast w obwodach o wyższym udziale niż 2000 ha lasu do 10 osob./1000 ha lasu. Obliczony w oparciu o powyższe limity pojemności stan liczebny dzika w kraju powinien wynosić 36,8 tys. zwierząt, tj. 4,4 osobników/1000 ha lasu.

Działania te spowodowały co prawda wzrost pozyskania z 25 tys. szt. w 1970 roku do 40 tys. szt. w 1975 roku, ale nie miały one żadnego wpływu na zmniejszenie liczebności dzików i ograniczenie szkód. Nie zdała również egzaminu próba całkowitego wyeliminowania dzika z obwodów o niskiej lesistości (dzisiaj nazywana depopulacją).

W 1981 roku, po kolejnych nieudanych próbach ograniczenia liczebności, sposób gospodarowania dzikiem w Polsce stał się przedmiotem krytyki społecznej. Sprawą zajęła się Komisja Zwierząt Łownych i Rzadkich Polskiej Akademii Nauk, która po konsultacjach z Komisją Hodowlaną NRŁ oraz liczną grupą ekspertów sformułowała opinię, w której między innymi uznano za konieczne:

- zintensyfikowanie pozyskania dzika w Polsce, podnosząc je około dwukrotnie w stosunku do wysokości dotychczasowego odstrzału,
- zniesienie norm pojemności dzików, a jako kryterium określające plan pozyskania przyjmować gospodarczo znośną wysokość szkód,
- wprowadzenie pozyskania dzika z podziałem na klasy wieku, tak by co najmniej 80% odstrzału stanowiły dziki do 2 lat (50% warchlaki i 30% przelatki),
- ograniczenie zimowego dokarmiania do warunków kłęskowych,
- wprowadzenie dokarmiania dzików na pasach zaporowych w głębi kompleksów leśnych.

Opinia przekazana została Ministrowi Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego, Ministrowi Rolnictwa a także odpowiednim komisjom sejmowym.

Podjęte w kolejnych czterech latach (lata 1981–84) działania spowodowały, że liczebność dzika zmniejszyła się z 85 tys. do 56 tys. osobników, a pozyskanie spadło z 80 tys. do 64 tys. szt. Mimo tych pozytywnych symptomów już od 1985 roku nastąpił kolejny wzrost liczebności, szczególnie pozyskania, które aż do 1993 roku przekraczało wykazywany stan wiosenny. Po tym

okresie niestety pozyskanie już nigdy nie przekroczyło stanu wiosennego. Trend wzrostowy liczebności i odstrzału z niewielkimi wahaniami trwa nieprzerwanie, osiągając w Polsce w sezonie łowieckim 2014/15 rekordowo wysokie liczby, a średnie krajowe zagęszczenie dzika wyniosło 33,2 os./1000 ha lasu.

Podobna sytuacja jest we wszystkich krajach europejskich, w których dzik występuje. Na wspomnianym ubiegłorocznym sympozjum w Słowenii, G. Massei z Anglii stwierdziła: „Eksplzja dzików w Europie rozpoczęła się 25 lat temu i trwa do dzisiaj. Dzik zasiedlił nowe regiony, również nadal przybywało go w pełni już nasyconych środowiskach. Przed 30 laty dzik miał większą szansę spotkania się z myśliwym niż obecnie. Dzisiaj w Europie dzików jest więcej, myśliwych natomiast mniej – i są starsi. Zamiast narzekać na szkody i rosnącą liczebność dzików, należy silniej rozwijać monitoring i doskonalić zarządzanie populacjami dzika”.

Dziki i szkody łowieckie

Już w latach 80. wykazano, że wysokość szkód łowieckich wyrządzanych na polach zależy od wielu czynników lokalnych, a nie tylko bezpośrednio od zagęszczenia zwierzyny.

Dawniej, gdy czarnego zwierzka było znacznie mniej niż obecnie, w składzie pożywienia dzika przeważał żer pochodzenia leśnego. W latach 1965–67 powierzchnia zredukowana szkód w polach była czterokrotnie mniejsza niż obecnie i wynosiła średniorocznie około 8 tys. ha.

Natomiast już od lat 80. w zawartości treści żołądków dzików co najmniej 80–85% stanowią płody rolne. Jedynie w latach nasiennych dęba i buka, żołądziej i bukiew są podstawą ich pożywienia od wczesnej jesieni aż do późnej wiosny. W 1984 roku powierzchnia zredukowana szkód wyniosła 30 tys. ha, ale nie przekraczało to 0,20% ogółu upraw rolnych, czyli proggu uznanego wówczas za wskaźnik szkód gospodarczo znośnych.

Zmiana preferencji żerowych dzików zbieżna jest ze wzrostem liczebności i korzystnymi zmianami środowiska. W lesie jest to wzrost powierzchni doskonałych osłon (przede wszystkim młodników i podszytów), a w polu postępujący wzrost areалу upraw wielkołanowych, szczególnie kukurydzy, rzepaku itp. Kilkakrotnie również wzrosła wydajność plonów. W latach przed 1980 rokiem główne szkody występowały w uprawach ziemniaków, dzisiaj jest to kukurydza, inne zboża oraz rzepak.

Na przełomie lat 80. i 90. wielkość szkód wyrażona powierzchnią zredukowaną spadła o około 33%. Wiązało się to niewątpliwie ze stopniowym przejmowaniem szacowania szkód przez koła łowieckie, które

w 1989 roku w pełni przejęły od Państwa ten uciążliwy obowiązek i pełne finansowe obciążenie. Szkody w skali kraju nie przekraczały poziomu 0,1–0,2% plonów i były znacznie niższe od strat ponoszonych przez rolnictwo z tytułu przechowalnictwa, transportu itp. Oceniano, że dziki były głównym sprawcą (85%) szkód powodowanych przez zwierzynę w uprawach rolnych i tylko lokalnie szkody te były istotne gospodarczo.

W różnych opracowaniach, publikacjach łowieckich, a także w „Raporcie o zwierzętach łownych w Polsce” z 1993 roku zalecano, by eksploatacja populacji dzika odbywała się z uwzględnieniem właściwej struktury wiekowej preferującej pozyskanie warchlaków. Rosnący odstrzał dzików w zbyt dużej części obejmował dziki starsze, co w konsekwencji zachwiało strukturę wieku i naruszyło potencjał rozrodczy populacji. Autorzy „Raportu” wyrazili obawę, że skutki takiego odstrzału, nieprawidłowego z populacyjnego i hodowlanego punktu widzenia, będą niekorzystne dla gospodarowania populacją dzika oraz dla roli tego gatunku zwierzyny w środowisku jej bytowania.

Myśliwi nie śpią

Od ponad 20 lat, początkowo stopniowo, a od 1989 roku już w pełni, koła łowieckie przejęły od Państwa obowiązek szacowania i wypłacania odszkodowań za szkody wyrządzane przez zwierzęta łowne w uprawach i płodach rolnych. Po zmianie kwalifikacji pojęcia, czym jest uprawa rolna, doszły także szkody wyrządzane w plantacjach sadowniczych i różnego rodzaju innych uprawach, np. plantacjach orzechów (pomysł unijny). Koła płacą nawet za szkody wyrządzane w plantacjach roślin energetycznych obcych naszej przyrodzie, takich egzotycznych roślin jak np. miskantus.

W sezonie łowieckim wiosną 2014 roku myśliwi zainwentaryzowali w dzierzawionych obwodach 258,1 tys. dzików, 178,7 tys. jeleni i 20,8 tys. danieli. Łącznie jest to 457,6 tys. dziko żyjących zwierząt, będących własnością skarbu państwa, a więc 3,3 razy więcej niż w 1985 roku, kiedy to koła łowieckie rozpoczęły stopniowe przejmowanie szacowania i wypłacania odszkodowań. Natomiast powierzchnia zredukowana szkód wyrządzanych przez te gatunki nie uległa w tym okresie większym zmianom i utrzymuje się cały czas na zbliżonym poziomie 30 tys. ha (w sezonie łowieckim 2013/14 wyniosła 30475 ha). Ten zadziwiająco stabilny poziom jest wynikiem olbrzymiego zaangażowania kół łowieckich w ochronę pól przed szkodami. Udział kosztów, jakie koła ponoszą w zabezpieczeniu upraw rolnych, dochodzi do 1/3 wartości wypłaconych odszkodowań, czyli około 20 milionów zł. W wielu przypadkach wartość kosztów ponoszonych przez dzierzawców i zarządców

obwodów łowieckich na ochronę pól przed zwierzyną przekracza wysokość wypłacanych odszkodowań. Do tych obciążeń dochodzi uprawa 9736 pasów zaporowych o łącznej długości 2594 km, na których w okresie od kwietnia do października regularnie co dwa tygodnie przyorywana jest kukurydza lub inna atrakcyjna karma odciągająca dziki od pól. W celu zatrzymania zwierzyny w lesie myśliwi uprawiają także 16 762 ha poletek łowieckich i 13 811 ha łąk śródleśnych. Łączna powierzchnia poletek łowieckich, łąk i pasów zaporowych przekracza powierzchnię zredukowaną szkód łowieckich, jakie zwierzęta wyrządzają w uprawach rolniczych.

Efekt działań kół łowieckich jest wyraźny – przy kilkukrotnym wzroście stanów zwierzyny, poziom szkód nie rośnie.

Wystrzelać dziki

Na początku lutego 2015 roku Minister Rolnictwa zapowiedział wybitcie wszystkich dzików w województwie podlaskim. Łatwo rzucić słowa bez pokrycia. Przecież podobne próby już były i to przy wielokrotnie niższym zagęszczeniu niż obecnie. Takie „ambitne” zamierzenia nigdy się nie powiodły. Jak pokazuje historia, skutek był wręcz odwrotny.

W Polsce jest obecnie 110 tys. myśliwych, czyli na jednego statystycznego myśliwego przypadają do pozyskania (wraz z Ośrodkami Hodowli Zwierzyny) co najmniej trzy dziki. W latach 70. i 80. na jednego myśliwego przypadało od 0,8 do 1 dzika. Ale wtedy mimo wszystko łatwiej było pozyskać dzika niż teraz. Nie było takich olbrzymich łąnów kukurydzy, rzepaku i innych zbóż. W lasach nie było tak licznych, jak obecnie młodników, gniazd i gęstych podszytów. Zwierzęta wychodziły na żer wcześniej i mimo ich mniejszej liczebności nie było problemu, by spotkać się z dzikiem wieczorową porą czy o wschodzie słońca. Obecnie na dziki polujemy głównie w nocy, coraz częściej przy braku śniegu i czystego księżyca. Myśliwi, chcąc wykonać wysokie plany odstrzału, poświęcają coraz więcej czasu, by strzelić dzika. W kołach łowieckich, w których rocznie pozyskuje się od 120 do 200 dzików, na jednego strzelonego dzika przypada od 7,5 do 19 rannych i wieczornych wyjść myśliwego na polowanie. Jedno wyjście trwa średnio trzy godziny, a więc, by strzelić jednego dzika trzeba stracić (lub poświęcić) około 25 do 50 godzin. Myśliwi mówią, że jeden dzik to jeden zbiornik paliwa.

Regulacja liczebności i struktury płci

Wbrew pozorom, gospodarowanie dzikiem nie należy do łatwych zadań. Opracowywane różne koncepcje i metody zarządzania populacjami dzików z niemałym trudem torowały sobie drogę i w zasadzie nigdy w pełni nie zostały wdrożone do prakty-

ki łowieckiej. Dawniej, gdy liczebność dzików była niska, uważano, że podstawowym i wystarczającym działaniem hodowlanym jest ochrona loch. Odstrzał koncentrował się w głównie w grupie dzików dwuletnich i starszych, a średnia masa strzelonego dzika w skali kraju wahała się między 50 a 60 kg.

Kiedy szkody stały się poważnym problemem, zaczęto poszukiwać sposobu ograniczającego liczebność dzików i rozmiar szkód. W Niemczech, gdzie problemy te wystąpiły najwcześniej, opracowano zasady pozyskania uwzględniające konieczność regulowania rosnących stanów dzika. W latach 70. rozpoczęto wdrażanie odstrzału strukturalnego, polegającego na wysokim odstrzale warchlaków w wysokości 75% planu. W wytycznych podkreślono, że odstrzał powinien być skupiony na sztukach o masie poniżej 40 kg, a docelowa struktura płci populacji, która gwarantuje kontrolę liczebności, powinna charakteryzować się przewagą osobników męskich w proporcji 1,2:1.

go wielkość była zawsze dużo niższa od koniecznego pozyskania. Przy rosnącej, ale niedocenianej dynamice przyrostu, błędem okazało się często stosowane łączenie najmłodszej grupy wiekowej warchlaków z przelatkami. Pozyskanie 60% warchlaków i 30% przelatków to nie to samo, co 40% warchlaków i 50% przelatków, mimo że łączny odstrzał wynosi 90% – wynik wręcz jakby idealny. W populacjach z przewagą osobników żeńskich (takie zjawisko występuje powszechnie w naszych łowiskach), przy niskim odstrzale warchlaków rośnie ich udział w rozrodzie całkowitym. Wraz z loszkami przelatkowymi, których także jest nadmierny stan, sumaryczny przyrost od tych dwóch grup wiekowych wynosi nie mniej niż 55% przyrostu całkowitego. Przy takim sposobie pozyskania, mimo że tylko 45% przyrostu pochodzi od starszych loch, całkowity przyrost populacji w sprzyjających warunkach może przekraczać 200% stanu wiosennego.



W Polsce od 1977 roku zaproponowano podobny model gospodarowania dzikiem, w którym po raz pierwszy wprowadzono planowanie pozyskania dzików z podziałem na klasy wieku, tak by co najmniej 80% odstrzelonych dzików stanowiły zwierzęta w wieku do dwóch lat (50% warchlaki i 30% przelatki).

Ostatecznie zasady gospodarowania dzikiem wprowadzono w 1983 roku. Zalecono w nich, aby struktura odstrzału wynosiła: warchlaki co najmniej 60%, przelatki do 30%, około 10% dzików dorosłych (odyńców i starszych, nieprowadzących już loch).

Niestety, nigdy w Polsce nie udało się uzyskać w praktyce łowieckiej struktury odstrzału w zalecanej proporcji. Problemem był odstrzał warchlaków, które-

W naszej praktyce łowieckiej nadmiernie oszczędzamy osobniki żeńskie, za to z nieuzasadnioną pasją, wręcz z zaciętością, strzelamy do przelatków męskich, wycinków i coraz radszych odyńców. Nawet strzelenie warchlaka męskiego daje myśliwym większą satysfakcję, mimo że w przypadku warchlaków odstrzał pod względem płci jest czysto losowy. Negatywnym skutkiem takiego mało odpowiedzialnego działania jest mocne zniekształcenie struktury płci. Ta niekorzystna dysproporcja wyraźnie jest już widoczna w grupie przelatków, szczególnie pod koniec sezonu. Jeszcze gorzej jest wśród dzików trzyletnich i starszych, gdzie na jednego wycinka i odyńca przypadają często aż cztery lochy. Nie uda

się zmniejszyć liczebności dzików bez zmiany złych nawyków i przyzwyczajzeń. Ograniczenie i wyhamowanie wysokiej dynamiki przyrostu dzików należy rozpocząć od wyraźnego złagodzenia presji na osobniki męskie w każdej klasie wiekowej i doprowadzenia do wyrównania stosunku płci z tendencją do lekkiej przewagi samców nad samicami. Z powodzeniem można to zrobić w ciągu jednego lub dwóch sezonów łowieckich.

Lochy na celowniku

Nigdy w Polsce nie wypracowano zasad, które przekonywałyby myśliwych do koniecznego odstrzału loch. Nadal wśród myśliwych pokutuje stary pogląd, że lochy trzeba oszczędzać. A lochy powinno się strzelać, podobnie jak strzela się łanie i kozy, by skutecznie regulować liczebność i inne parametry populacyjne tych gatunków. Zatem bezwzględna zmiana dotychczasowego, anachronicznego sposobu gospodaro-

ważnym krokiem, by te proporcje odwrócić. W przypadku przelatki żeńskiej odstrzał powinien być intensywniejszy niż dotychczas. Oznacza to, że co najmniej 50% samic tej grupy płciowo wiekowej powinno być odstrzelonych. Przy wysokim przyroście, jaki obecnie ma miejsce, staje się konieczne, ażeby na trzy strzelone przelatki jeden był męski, a dwa żeńskie, a nie odwrotnie!

Kolejnym krokiem, będącym podstawą odstrzału strukturalnego, jest wysoki odstrzał warchlaków. Należy go realizować w takiej wysokości, by na wiosnę ich liczba, już jako przelatki, była niższa od liczby dzików starszych, czyli trzyletnich i powyżej. Wykazywana w inwentaryzacji kół łowieckich liczba przelatki wynosi od lat około 60%, a dzików starszych zaledwie 40%. Przy bardzo niskim odstrzale warchlaków dysproporcja jest jeszcze wyższa. Natomiast stosunek ten, jako prosty wskaźnik jakości populacji, powinien być odwrotny i wynosić: przelatki około 40%, starsze 60%.



wania, niemającego nic wspólnego z nowoczesnym i skutecznym zarządzaniem populacjami dzika, jest podstawowym warunkiem skutecznego zmniejszenia liczebności i ograniczenia przyrostu.

W pierwszym rzędzie należy doprowadzić do wyrównania płci, a nawet do niewielkiej przewagi osobników męskich nad żeńskimi. Zacząć trzeba już na wiosnę od intensywnego pozyskania przelatki. Praktykowany dotychczas sposób polowania powoduje, że już pod koniec sezonu łowieckiego rysuje się wyraźna przewaga przelatki żeńskiej nad męskimi. Dlatego zdecydowane ograniczenie odstrzału przelatki męskiej, które najczęściej już od lipca butują samotnie i są łatwym łupem myśliwego, jest

Dotychczas nadmiernie wysoki stan wiosenny przelatki wynika z niskiego, poniżej 50% udziału warchlaków w odstrzale całkowitym. Odstrzał warchlaków w populacjach osiagających przyrost zrealizowany powyżej 100% stanu przedzrodzowego musi osiągać wielkość co najmniej 60%, by na wiosnę liczba przelatki była niższa od liczby dzików starszych. Ideałem byłoby pozyskanie warchlaków na poziomie 70%. Przy wysokiej dynamice rozrodu nie ma innego wyjścia. Należy zdawać sobie sprawę, że im więcej strzelimy warchlaków, tym mniej potencjalnych loszek przejdzie do grupy przelatki. Niższa liczba przelatki to także niższy przyrost oraz mniejsze szkody wiosenne, szczególnie na łąkach i w zasiewach wiosennych.

W grupie dzików starszych przeważają lochy. Ta niekorzystna sytuacja wynika z nadmiernego pozyskania wycinków oraz odyńców i zbyt małego odstrzału loch. W sezonie 2013/14 udział samców w pozyskaniu całkowitym wynosił aż 8%, a loch zaledwie 5%. Obserwacje letnie prowadzone w 2014 roku w obwodach łowieckich RDLP w Pile (okręg pilski) potwierdziły zdecydowaną przewagę loch nad wycinkami i odyńcami w proporcji 1:2,6. Nadmierna i nieuzasadniona presja wielu myśliwych na wycinki i odyńce, która rozpoczyna się już od początku sezonu na wiosnę, nie tylko pogarsza strukturę płci, ale także ogranicza możliwość dochowania się orzęznych odyńców. Korzyści z takiej gospodarki są żadne, a straty dla populacji ogromne.

Należy sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, że lochy to nie święte krowy. Pozyskanie loch młodych może odbywać się bez uszczerbku na potomstwie, jeśli odstrzał przeprowadzony jest w optymalnym terminie. I nie ma żadnego problemu, by tam, gdzie jest to konieczne, ograniczenie liczby loch swobodnie przeprowadzić w starym okresie polowań na lochy, czyli od 15 sierpnia do połowy stycznia. Przy dotychczasowym podejściu myśliwych do odstrzału loch, wydłużenie okresu polowań nie załatwi problemu. Wręcz odwrotnie. Etyka będzie zawsze na pierwszym miejscu i niewielu odważy się strzelić do lochy prowadzącej pasiak.

W obecnych populacjach, wbrew pozorom, problemem nie są lochy. Problemem są loszki warchlakowe i loszki przelatki, których udział w rozrodzie całkowitym znacznie przekracza 50% przyrostu. To jest główna przyczyna wzrostu liczebności i wysokich szkód. Poza tym warchlaki zawsze stanowią główne zagrożenie przy przenoszeniu pomoru, także

ASF. Dlatego ostre strzelanie warchlaków jest podstawowym warunkiem unormowania wszelakich dziczych problemów.

Zacząć trzeba od góry

Znawcy dziczego tematu od kilku lat sygnalizują o niezrozumiałych pomysłach utrudniających właściwe i skuteczne gospodarowanie dzikiem. Czasami odnosi się wrażenie, że pomysłodawcy terminów „pozostałe” i rezygnacji z klas wiekowych nie do końca wiedzą, na czym polega gospodarowanie dzikiem.

Kto ma choć trochę pojęcia o łowiectwie, ten wie, że dziki dzielimy na warchlaki, przelatki i dziki starsze. Podział ten jest fundamentem odstrzału strukturalnego, bez którego nie da się regulować liczebności i innych parametrów populacji. Natomiast w nowym druku rocznego planu łowieckiego, obowiązującego od sezonu łowieckiego 2014/15, w oparciu o który przyszło nam realizować wysoki plan pozyskania dzików, jest tylko rubryka „dziki”. Bez podziału na grupy wiekowe, na cokolwiek, co miałoby związek z ambitnymi planami uregulowania dziczego problemu. Nie wyobrażam sobie, że wypisując zezwolenia na odstrzał dzików bez określenia klas wieku, strzelimy wymaganą liczbę warchlaków i innych grup wiekowych.

Doskonalenie zarządzania populacjami dzika jest podstawą regulowania liczebności i ma niebagatelny wpływ na poziom szkód. Struktura pozyskania dostosowana do biologii gatunku nie może być lekceważona i pomijana. Jeśli zaś odstrzał loch potraktujemy tak jak odstrzał samic innych gatunków zwierzyny grubej, to na obszarach niezagrożonych wystąpieniem afrykańskiego pomoru świń, nie będzie potrzeby strzelania loch prowadzących pasiak.



Zdjęcia: Piotr Śnigucki

Kaczki, kwaczki, ach te kaczki...









Tarniny a motyle

– ochrona remiz śródpolnych

Tekst: prof. dr hab. Dariusz Tarnawski

Zdjęcia: Marcin Kadej, Adam Malkiewicz, Dariusz Tarnawski

Jakie jest znaczenie remiz śródpolnych dla środowiska przyrodniczego informowano często, zwłaszcza w publikacjach łowieckich. Znaczna część z nich powstała dzięki wieloletniej pracy myśliwych. W ostatnich latach angażowano również młodzież szkolną do ich zakładania w projekcie „Ożywić pola” prowadzonym przez Polski Związek Łowiecki i relacjonowanym na bieżąco w „Łowcu Polskim” (Bartosz Głębocki).

W remizach znajduje schronienie i miejsce rozwoju wiele gatunków organizmów, w tym szereg zwierząt łownych. W większości były one zakładane przez myśliwych lub powstały w sposób naturalny (sukcesja) wskutek zaprzestania użytkowania niektórych terenów rolnych przez ich właścicieli.

Najbardziej pożądanymi krzewami budującymi remizy są nasze rodzime gatunki: głóg, czeremcha pospolita, kalina koralowa, róża, jabłoń dzika, jarząb, śliwa tarnina, ałyczka (śliwa wiśniowa).

Niestety, ostatnio wiele remiz zakładanych z takim poświęceniem i nakładem kosztów ulega likwidacji z różnych powodów. Właściciele gruntów wycinają je, by uzyskać większą powierzchnię orną, podczas konserwacji są z nich oczyszczane brzegi rowów melioracyjnych i rzek, przy remontach dróg i szlaków kolejowych usuwane są z ich poboczy, niszczone są też w trakcie innych inwestycji. By temu przeciwdziałać, niezbędna jest wiedza z zakresu biologii konserwatorskiej, którą my, myśliwi, możemy z powodzeniem wykorzystać w ich ochronie.

Bardzo ważnym gatunkiem, często dominującym w remizach na Dolnym Śląsku, jest śliwa tarnina *Prunus spinosa* (fot. 1), jednocześnie będąca główną rośliną żywicielską gąsienic rzadkiego motyla barczatki kataks *Eriogaster catax*; odżywiają się one liśćmi tarniny. Obecność na tarninach (znacznie rzadziej na głó-

gach i gruszach) tego gatunku motyla jest naszym bardzo ważnym atutem umożliwiającym ochronę takich zakrzewień.

Barczatka kataks podlega ścisłej ochronie prawem Unii Europejskiej (II i IV załącznik Dyrektywy Siedliskowej) oraz polskim (Rozporządzenie Ministra Środowiska w sprawie ochrony gatunkowej zwierząt – DzU 2014, poz. 1348). W Polsce chroniona jest od 2001 roku. Według prawa europejskiego chronimy nie tylko sam gatunek, **ale również jego siedliska!**

W Polsce ta ciepłolubna barczatka występuje tylko w kilku rejonach, w tym na Dolnym Śląsku – szczególnie w okolicach Wrocławia. Jest to gatunek jednopokoleniowy. Dorosłe motyle (fot. 2) spotyka się we wrzeźniu oraz w październiku i w tym okresie samice składają na gałązkach tarnin (czasami też innych: śliwy, głogi, grusze) kilkadziesiąt jaj w jednym miejscu w charakterystycznych złożach, które pokrywają warstwą szaroczarnych włosków z odwłoka (fot. 3). Zimują jaja. Wiosną z początkiem kwitnienia tarnin (zwykle kwiecień) wylęgają się z nich gąsienice, które żerują gromadnie, chroniąc się w zbudowanych przez siebie, przypominających namioty, jedwabnych gniazdach – oprzędach (fot. 4, 5); starsze larwy rozpraszają się (w drugiej dekadzie maja) i żerują pojedynczo (fot. 6). Koniec żerowania gąsienic przypada na przełom maja i czerwca; przepoczwarczenie następuje w czerwcu w gęstym kokonie w ściółce. Dorosłe motyle opuszczają poczwarkę pod koniec lata.

Najłatwiej możemy rozpoznać barczatkę kataks po charakterystycznych oprzędach (fot. 4, 5) w kwietniu i w pierwszej dekadzie maja, ale mając nieco opatrzenia, również po złożach jaj (fot. 3) w okresie od października do kwietnia. Po znalezieniu takich zarośli należy o tym poinformować właściciela działki (wyjaśnić mu znaczenie takiego siedliska) oraz Regionalną

Dyrekcję Ochrony Środowiska, odpowiednie wydziały ochrony środowiska w powiatach, gminach i zarządach spółek wodnych, a także w przypadku stanowisk przy drogach i szlakach kolejowych ich zarządców. Organy te w trakcie wydawania decyzji na wycinki mają obowiązek uwzględniać te dane.

W przypadku samowolnych wycinek w miejscach ze stwierdzoną barczatką kataks należy ten fakt zgłosić do Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska, która wszczyna procedurę karną z mocy tzw. ustawy szkodowej (DzU 2007 nr 75 poz. 493, z późniejszymi zmianami – Ustawa o zapobieganiu szkodom w środowisku i ich naprawie).

To od nas, myśliwych, zależy, byśmy edukowali i uczulali społeczeństwo na ekologiczne znaczenie remiz śródpolnych i czynnie przeciwdziałali różnym zagrożeniom, które mogą je spotykać. Jesteśmy największą organizacją ekologów i stajemy się ważnym partnerem wielu programów ochronnych – powinniśmy to umiejętnie wykorzystywać w naszej pracy dla środowiska przyrodniczego.



Fot. 3



Fot. 2



Fot. 4



Fot. 5



Fot. 6



Fot. 1



O nożu słów kilka

Tekst, zdjęcia i noże: Piotr Jakubiec

Nóż jest dla myśliwego niezbędny. To jest chyba oczywiste i każdy narzędzie to posiada lub powinien posiadać. Często jednak nóż jest słabej jakości i myśliwy nie jest w stanie oprawić nim upolowanej zwierzyny – ostrze szybko się tępi i trzeba je naostrzyć, by skończyć pracę. Oznacza to, że nóż był źle dobrany do pracy, jaką miał wykonać. Obecnie każdy myśliwy może zaopatrzyć się w nóż dowolnej firmy i o dowolnej cenie, ważne jest jednak, by był on wykonany z odpowiednich materiałów, wygodny, a wielkość i kształt powinny ułatwiać łowcy pracę.

Najważniejszym elementem noża, odpowiedzialnym za jakość cięcia, jest klinga. Klingi wykonywane

są obecnie głównie ze stali nierdzewnych, czyli takich, które mają zwiększoną odporność na korozję. Niestety, nie każda stal nierdzewna sprawdza się przy pracy. Klinga noża myśliwskiego musi być twarda i odporna na ścieranie. Większość dostępnych na rynku noży ma twardość od 55 HRC do 59 HRC. Im wyższa twardość, tym nóż przedstawia dla myśliwego większą wartość, rzadziej będzie ostrzony, a praca nim będzie przyjemniejsza. Najczęściej spotykane gatunki stali nierdzewnych używane do produkcji noży to 420, 440A, 440C oraz ich odpowiedniki. Upraszczając nieco, można przyjąć, że gatunki stali sprawdzające się to 440C i lepsze, o twardości, 59 HRC lub więcej.



Nóż z niskim szlifem płaskim. Taki nóż nadaje się do strugania drewna, ale do cięcia mięsa już nie bardzo



Nóż ze szlifem płaskim, jednak jego wymiary ograniczają jego wykorzystanie jako noża myśliwskiego

Warto również zainteresować się stalą węglową, czyli taką, która rdzewieje. Odnacza się ona doskonałymi parametrami mechanicznymi, takimi jak wysoka agresja cięcia, elastyczność i wysoka twardość. Trzeba jednak o taką stal dbać, by nóż nie pokrył się korozją, co może doprowadzić do osłabienia klingi, stępienia krawędzi tnącej, a w drastycznych przypadkach, nawet zniszczenia noża.

Oczywiście, gatunek stali nie gwarantuje wysokiej jakości cięcia. Za tę zdolność odpowiedzialny jest również rodzaj szlif, a tych jest kilka. Szlif wklęsły tnie dobrze, ale płytko, wypukły i skandynawski wymyślono do pracy w drewnie i w myśliwie nie sprawdzają się dobrze, bo często klinują się w miękkich materiałach. Najlepszym szlifem do zastosowań myśliwskich wydaje się szlif płaski (wysoki lub pełny). Poza doskonałą zdolnością do cięcia, łatwo go również naostrzyć.

Ważną częścią noża jest jego rękojeść. Równie ważne jak stal, z której wykonana jest klinga, są materiały użyte do wykonania rękojeści. Mogą być to zarówno materiały naturalne, jak i syntetyczne. Należy zwrócić uwagę, by materiały rękojeści nie chłonęły płynów i były trwałe w warunkach zwiększonej wilgotności. Te warunki spełniają materiały syntetyczne, które jednak nie są popularne wśród myśliwych. Często używanym materiałem na rękojeści noży myśliwskich jest poroże jelenia, jednak jego istotną wadą są puste przestrzenie, które chłoną wilgoć i dają możliwość rozwoju pleśni. Takie przestrzenie powinny zostać w procesie produkcji zabezpieczone przed wilgocią, a często nie dba się o to. Doskonałym materiałem na rękojeści noży jest drewno, szczególnie gatunki egzotyczne o dużej zawartości oleju, a co za tym idzie dużej odporności na wilgoć. Od kilku lat popularnym materiałem stało się drewno stabilizowane, które łączy piękno naturalnego drewna z odpornością materiałów syntetycznych.

Ważną cechą noża myśliwskiego jest jego rozmiar. Duży nóż może być użyty do sprawienia zwierzyny, ale nie będzie to praca łatwa ani przyjemna. Najbardziej popularny rozmiar klingi noża myśliwskiego mieści się między 9 a 12 cm. Nóż o takiej wielkości ostrza zapewnia optymalny zasięg i precyzję cięcia. Klinga nie powinna

być zbyt szeroka, aby zapewnić dobre manewrowanie nożem. Wielkość rękojeści uzależniona jest od wielkości dłoni i powinna zapewniać wygodny i pełny uchwyt. Kształt rękojeści nie powinien być skomplikowany, by zapewnić komfortową pracę w wielu różnych chwytach.

Przedstawiliśmy cechy noża myśliwskiego. Nie da się jednak określić jedyne go słusznego modelu, bo każdy myśliwy pracuje nożem nieco inaczej i wymaga innej ergonomii. Warto jednak zwrócić uwagę na przedstawione cechy, żeby uniknąć nietrafionych zakupów.



Nóż ze szlifem wypukłym



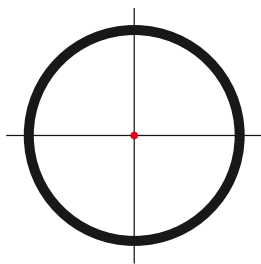
Nóż ze szlifem wypukłym



Nóż ze szlifem płaskim – wysokim



Nóż ze szlifem płaskim – pełnym



Tekst: Jerzy Górski

odstrzał sanitarny

Koła łowieckie są często wzywane przez jednostki samorządu terytorialnego i inne organy państwowe do problemów związanych z rannymi lub padłymi zwierzętami pochodzącymi z wypadków drogowych lub innych zdarzeń.

Należy nadmienić, że ustawa z 13 X 1995 roku Prawo łowieckie zniósła pojęcie odstrzału sanitarnego, który w przypadku zdarzeń, o których wspomniałem na wstępie, mógł być stosowany, a zwierzyna łowna była zagospodarowywana zgodnie ze wskazaniami lekarza weterynarii. W przypadku innych zwierząt obowiązek ten spadał na organy państwowe i samorządowe. Od 1997 roku o sprawach zwierząt stanowi ustawa z 21 sierpnia tego roku o ochronie zwierząt, która swoimi postanowieniami określa zasady właściwego traktowania zwierząt gospodarskich, dziko żyjących i wszystkich zdarzeń z nimi związanych. Poniżej podajemy niektóre postanowienia tej ustawy, które dotyczą między innymi członków Polskiego Związku Łowieckiego.

Rozdział 1 Przepisy ogólne

Art.1.1. Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę.

2. W sprawach nieuregulowanych w ustawie do zwierząt stosuje się odpowiednio przepisy dotyczące rzeczy.

Art. 2. Ustawa reguluje postępowanie ze zwierzętami kręgowymi, w tym:

- 1) domowymi;
- 2) gospodarskimi;
- 3) wolno żyjącymi (dzikimi);
- 4) obcymi faunie rodzimej.

Art. 4.2) „humanitarnym traktowaniu zwierząt” – rozumie się przez to traktowanie uwzględniające potrzeby zwierzęcia i zapewniające mu opiekę i ochronę;

3) „konieczność bezzwłocznego uśmiercenia” – rozumie się przez to obiektywny stan rzeczy stwierdzony w miarę możliwości przez lekarza weterynarii, polegający na tym, że zwierzę może dalej żyć jedynie cierpiąc i znosząc ból, a moralnym obowiązkiem człowieka staje się skrócenie cierpienia zwierzęcia;

16) „zwierzętach bezdomnych” – rozumie się przez to zwierzęta domowe i gospodarskie, które uciekły, zabłąkały się lub zostały porzucone przez człowieka, a nie ma możliwości ustalenia ich właściciela lub innej osoby, pod której opieką trwale dotąd pozostawały;

21) „zwierzętach wolno żyjących (dzikich)” – rozumie się przez to zwierzęta nieudomowione żyjące w warunkach niezależnych od człowieka.

Art. 6.1. Zabrania się zabijania zwierząt, z wyjątkiem:

- 3) konieczności bezzwłocznego uśmiercenia,
- 4) działań niezbędnych do usunięcia poważnego zagrożenia sanitarnego ludzi lub zwierząt,
- 5) usuwania osobników bezpośrednio zagrażających ludziom lub innym zwierzętom, jeżeli nie jest możliwy inny sposób usunięcia zagrożenia,
- 6) polowań, odstrzałów i ograniczenia populacji zwierząt łownych.

Rozdział 2

Art. 10a

3. Zabrania się puszczania psów bez możliwości ich kontroli i bez oznakowania umożliwiającego identyfikację właściciela lub opiekuna.

Art. 11a.1. Rada gminy, wypełniając obowiązek, o którym mowa w art. 11 ust. 1, określa w drodze uchwały, corocznie do dnia 31 marca, program opieki nad zwierzętami bezdomnymi oraz zapobiegania bezdomności zwierząt.

2. Program, o którym mowa w ust.1, obejmuje:

8) zapewnienie całodobowej opieki weterynaryjnej w przypadkach zdarzeń drogowych z udziałem zwierząt.

5. Program, o którym mowa w ust.1, zawiera wskazanie wysokości środków finansowych przeznaczonych na jego realizację oraz sposób wydatkowania tych środków. Koszty realizacji programu ponosi gmina.

7. Projekt programu, o którym mowa w ust.1, wójt (burmistrz, prezydent miasta) najpóźniej do dnia 1 lutego przekazuje do zaopiniowania:

- 1) właściwemu powiatowemu lekarzowi weterynarii;
- 2) organizacjom społecznym, których statutowym celem działania jest ochrona zwierząt, działającym na obszarze gminy;

3) dzierżawcom i zarządcom obwodów łowieckich, działających na obszarze gminy.

8. Podmioty, o których mowa w ust. 7, w terminie 21 dni od otrzymania projektu programu, o którym mowa w ust.1, wydają opinie o projekcie. Niewydanie opinii w tym terminie uznaje się za akceptację przesłanego programu.

Rozdział 6

Zwierzęta wolno żyjące (dzikie)

Art. 21. Zwierzęta wolno żyjące stanowią dobro ogólnonarodowe i powinny mieć zapewnione warunki rozwoju i swobodnego bytu, z wyjątkiem tych, o których mowa w art. 33a ust. 1.

Art. 22a. Pozyskiwanie zwierząt wolno żyjących (dzikich) w celu tworzenia kolekcji spreparowanych zwłok tych zwierząt wymaga zgody marszałka województwa właściwego ze względu na miejsce tworzenia tych kolekcji.

Rozdział 10

Ubój, uśmiercanie i ograniczenie populacji zwierząt

Art. 33. 1a. Uśmiercanie zwierząt może odbywać się wyłącznie w sposób humanitarny, polegający na zadawaniu przy tym minimum cierpienia fizycznego i psychicznego.

1b. Jeżeli generalny dyrektor ochrony środowiska lub regionalny dyrektor ochrony środowiska wydał zezwolenie na zabicie zwierząt objętych ochroną gatunkową, mogą one być uśmiercone przy użyciu broni myśliwskiej przez osoby uprawnione do posiadania tej broni.

3. W przypadku konieczności bezzwłocznego uśmiercenia, w celu zakończenia cierpienia zwierzęcia, potrzebę jego uśmiercenia stwierdza lekarz weterynarii, członek Polskiego Związku Łowieckiego, inspektor organizacji społecznej, której statutowym celem działania jest ochrona zwierząt, funkcjonariusz Policji, Straży Ochrony Kolei, straży gminnej, Straży Granicznej, pracownik Służby Leśnej lub Służby Parków Narodowych, strażnik Państwowej Straży Łowieckiej, strażnik łowiecki lub strażnik Państwowej Straży Rybackiej.

4. W razie konieczności bezzwłocznego uśmiercenia czynność tę dokonuje się przez:

2) zastrzelenie zwierzęcia wolno żyjącego (dzikiego) – przez osobę uprawnioną do użycia broni palnej.

Art. 33 a. 1. W przypadku, gdy zwierzęta stanowią nadzwyczajne zagrożenie dla życia, zdrowia lub gospodarki człowieka, w tym gospodarki łowieckiej, dopuszcza się podjęcie działań mających na celu ograniczenie populacji tych zwierząt.

3. Dzierżawca lub zarządca obwodu łowieckiego może podjąć działania zapobiegające wałęsaniu się psów na terenie obwodu poprzez:

1) pouczenie właściciela psa o obowiązku sprawowania kontroli nad zwierzęciem,

2) odłowienie psa i dostarczenie go właścicielowi, a jeżeli ustalenie tej osoby nie jest możliwe, dostarczenie do schroniska dla zwierząt; odłowienie i dostarczenie psa odbywa się na koszt właściciela.

Rozdział 11

Przepisy karne

Art. 35. 1. Kto zabija, uśmierca zwierzę albo dokonuje uboju zwierzęcia z naruszeniem przepisów art. 6.1, art. 33 lub art. 34 ust. 1– 4 podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2. Jeżeli sprawca czynu określonego w ust. 1 lub 1a działa ze szczególnym okrucieństwem, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3.

4. W razie skazania za przestępstwo określone w ust. 1, 1a lub 2, sąd może orzec wobec sprawcy zakaz wykonywania określonego zawodu, prowadzenia określonej działalności lub wykonywania czynności wymagających zezwolenia, które są związane z wykorzystywaniem zwierząt lub oddziaływaniem na nie, a także może orzec przepadek narzędzi lub przedmiotów służących do popełnienia przestępstwa oraz przedmiotów pochodzących z przestępstwa.

Ustawa numeratywnie w art. 6, 33 i 33a wskazuje, w jakich warunkach można uśmiercić zwierzę oraz podaje wykaz instytucji i osób, które mają prawo podjęcia decyzji dotyczącej skrócenia męki zwierzęciu. W wykazie tym znajdują się również członkowie Polskiego Związku Łowieckiego i strażnicy łowieccy zatrudnieni bądź mianowani przez koła łowieckie. Podejmując decyzję dotyczącą użycia broni, należy pamiętać, że można to samodzielnie czynić wyłącznie na terenie dzierżawionego obwodu łowieckiego, natomiast w miejscowościach i na innych terenach wyłączonych z obwodu na polecenie przedstawiciela samorządu lokalnego, lekarza weterynarii i funkcjonariusza Policji, zachowując przy tym bezzwzględnie warunki bezpieczeństwa. Wprawdzie są jeszcze organizacje wymienione w art. 33, które również są władne podjąć decyzję o uśmierceniu rannego lub chorego zwierzęcia, ale zawsze bezpieczniej jest, jeżeli decyzja taka podjęta zostanie przez przedstawiciela władz. Przy użyciu broni celem skrócenia męki zwierzęcia dobrze mieć świadka oraz sporządzić, o ile to możliwe, dokumentację, np. zdjęcia, chociażby telefonem komórkowym. W innych przypadkach żądać trzeba sporządzenia urzędowego protokołu, w którym winno być nazwisko i stanowisko służbowe osoby podejmującej decyzję, nazwiska świadków itp. Należy przyjąć zasadę, że samodzielnie podejmujemy decyzję o uśmierceniu zwierzęcia w przypadku, gdy zwierzę może być groźne dla otoczenia, np. dzik czy lis i inne drapieżniki łowne. W pozostałych zaś przypadkach wskazane jest,

aby decyzja podejmowana była w liczniejszym gronie osób upoważnionych. W stosunku do zwierząt prawnie chronionych, jak np. żubr, łos, wilk, ryś, bóbr, bezwzględnie należy oczekiwać podjęcia decyzji przez przedstawiciela władz.

Pamiętajmy, że uśmiercanie zwierząt rannych lub chorych ma zawsze negatywny odbiór społeczny, dlatego my, myśliwi, koniecznie powinniśmy podchodzić do tego zagadnienia z wielką rozwagą, ostrożnością, zachowując wszelkie zasady humanitaryzmu i bezpieczeństwa. Podejmując działania, musimy być przekonani, iż odniesione przez zwierzęta urazy czy oznaki

chorobowe i agresywne zachowanie świadczą, że nie ma nadziei na wyleczenie zwierzęcia. Należy też pamiętać, iż zwierzyna uśmiercona w ramach odstrzału koniecznego nie jest własnością dzierżawcy obwodu łowieckiego i decyzję dotyczącą zagospodarowania tuszy musi podjąć lekarz weterynarii.

Z uwagi na ogromny ruch samochodowy na naszych drogach i coraz większą liczbę kolizji ze zwierzętami wskazane byłoby, aby członkowie kół łowieckich posiadali aktualne numery telefonów do lekarzy weterynarii oraz urzędów miast i gmin.



Łowy łucznicze

Tekst: Ziemowit Tokarski

Zdjęcia: Ziemowit Tokarski i Fotolia

Powoli skradamy się przez knieję. Co chwilę sprawdzam wiatr. Marcel postanawia zawabić. Nieopodal odpowiada byk. Ruszamy w jego kierunku. Marcel co kilkadziesiąt kroków wabi na rogu. Byk za każdym razem odpowiada. Na 100 metrach widać wyraźnie, że mamy do czynienia z obustronnie koronnym, regularnym szesnastakiem. Ostrożnie wycofujemy się, aby go nie spłoszyć, nie zakłócać rykowiska. Idziemy dalej. Powoli, cicho, krok za krokiem, pod wiatr. Znowu słychać ryk. Marcel wabi. Kolejny byk odpowiada. Ruszamy. Kiedy wydaje nam się, że byk ryczy tuż przed nami – zatrzymujemy się i kryjemy za drzewem. Marcel wypatruje przez lornetkę byka. Widać wyraźnie potężne, umięśnione ciało królewskiego zwierzęcia, ale od karku po poroże skrywa go knieja. Nie wiemy, co ma na głowie. Umarwiamy się na sygnał – jeśli to selekt, Marcel zawabi przeciągłym rykiem, jeśli byk jest przyszłościowy, Marcel zawabi, naśladując urwane porykiwanie. Ruszam w kierunku jelenia, a Marcel nadal stara się wypatrzeć poroże. Na próżno. Byk nie chce się ruszyć. Marcel wabi i łamie w dłoniach gałązki. Poskutkowało. Potężny jeleni ruszył w naszym kierunku. Od jego gniewnego ryku drży knieja. Ja zresztą też... Znowu stanął. Jest 38 metrów ode mnie. Chowam się za kolejnym drzewem. Serce zaczyna swój szalony taniec. W gardle mnie dławią. Ledwo łapię oddech. W skroniach kowalski młot wybija coraz szybszy rytm. Czuję, jak serce ciska mi się o żebra: bum bum, bum bum, bum bum! Zawsze zastanawiam się, czy słychać ten łomot... zdaje mi się, że dźwięk ten rozchodzi się daleko po knieji wszczep i wzdłuż. Marcel wabi i znowu łamie w dłoniach gałązki. Sprowokowany byk ryknął tak gniewnie, że poczułem to całym sobą. Za chwilę napnę łuk i ostrożnie, niezwykle wolno wychylię się zza drzewa... chyba że wcześniej zejść tu na zawal.

Łowy łucznicze, z uwagi na wyjątkowo bliską interakcję ze zwierzyną, dostarczają niezwykłych przeżyć. Zmuszają organizm łowcy do pracy na najwyższych obrotach, bezlitośnie obnażając przy tym nasze psychofizyczne słabości. Ukazują naszą nieporadność w konfrontacji z naturą oraz przepaść pomiędzy ludzką percepcją a zmysłami zwierzyny. Zmysłami wyostrzonymi do granic niewyobrażalnych dla współczesnego człowieka incydentalnie odwiedzającego knieję. Dzięki owym zmysłom w świadomości prehistorycznych łuczników zwierzyna uchodziła za istotę obdarzoną boskimi przymiotami. Współczesny myśliwy-łucznik doskonale rozumie odczucia neolitycznych łowców, bowiem podczas polowania z łukiem sam niejednokrotnie doświadcza niemal ekstatycznych przeżyć. Pomimo nowoczesnej metodologii i sprzętu łowy łucznicze pozostają jedną z najstarszych form myślistwa. Specyficzna metodyka jest niby niekończąca się lekcja pokory w starym duchu niegdysiejszych tradycji, które staramy się ocalić przed ostatecznym odejściem w niepamięć.

Delikatnym gestem wskazuję na lewo. Josef błyskawicznie ocenia sytuację i równie dyskretnym gestem poleca mi ruszać w kierunku watahy dzików... potem zamiera z lornetką przy oczach. Odwracam się bardzo spokojnie. Obserwuję dziki. Błyskawiczny rzut oka na kołczan i delikatnie wyjmuję strzałę. Wzrok znowu na dziki. Rzut oka na strzałę i zakładam ją na podstawkę. Wzrok znowu na dziki. Teraz będzie nieco trudniej, ale udaje mi się bezgłośnie zapiąć nasadkę na cięciwie. Wzrok na dziki. Rzut oka na pętelkę i bezgłośnie zapięnam na niej spust. Teraz nie odrywam już wzroku od watahy. Na przedzie potężna locha. Tuż za nią powoli przesuwają się warchlaki. Nieco za nimi przelatki.

Wataha nie spieszy się. Poszczególne osobniki co chwila zatrzymują się i buchtują ściółkę. Powoli skradam się ścieżką przecinającą ich szlak. Adrenalina zaczyna działać jak naturalny środek przeciwbólowy – nie czuję już bólu mięśni ani zmęczenia po wielogodzinnym podchodzie. Łuk wydaje się nienaturalnie lekki... skradam się bezgłośnie i bez odczuwalnego już teraz wysiłku. Bezustannie omiatam wzrokiem watahę. Serce zaczyna swój taniec, który stopniowo przeradza się w szalony, nieokiełznany łomot. Nieznośnie dławii mnie w gardle. Czuję jak pulsują mi żyły. W ustach czuję żelazawy posmak. Znowu ten nieznośny ciężar w mostku nasila się i rozlewa aż do gardła... Kiedy wydaje mi się, że moje serce eksploduje, nagle powoli wyrównuje takt, uspokaja się, odzyskuje oddech i zaczyna się coś dziwnego, magicznego, stan pomiędzy jawą a snem. Wiem, co to oznacza. Pierwszy raz poczułem to jako siedmiolatek, kiedy złowiłem swojego pierwszego, wielkiego pstrąga w górskim strumieniu. W krystalicznej wodzie obserwowałem, jak ostrożnie pod pływa – majestatyczny, nieosiągalny, niemal mityczne ucieleśnienie moich dziecięcych marzeń... Zatrzymał się przed przynętą. Widzę ruch jego skrzelii. Rzędy kropek od łba po ogon. Łomot serca dławii mój oddech... Nagle potokowicie błyskawicznie chwytą przynętę. Widzę jeszcze krótki refleks słońca odbijający się na jasnych łuskach brzucha, kiedy w nagłym skrócie ucieka z przynętą w pysku. I nagle wszystko spowalnia, czas niemal zatrzymuje się i wszystko staje się takie nierealne... Zaczynam bambusową wędką... wędzisko wygięte w pałąk... żyłka napięta do granic wytrzymałości tnie lustro wody... narwijam ją na trajkoczący kołowrotek... holuję go do brzegu i wyslizgiem ląduję na kamieniach... zdaje mi się, że to wszystko mi się śni – wpadam w dziwny stan, który odtąd będzie mi towarzyszył w chwilach wyjątkowo silnego napięcia... Tym razem dopada mnie w słowackiej kniei.

Powoli, metodycznie, niby w transie podkradam się do stada. Ledwie słyszalne kliknięcie przycisku dalmierza w tej chwili wydaje mi się nienaturalnie głośne. Już 40 metrów, za chwilę osiągnę dystans, z którego będę strzelał. Locha nagle podnosi gwizd i zaczyna wietrzyć, widzę wyraźnie tabakierę, kiedy głośno wciąga powietrze. Obawa przed zwietrzeniem i instynktowny re-spekt sprawiają, że zastygam bez ruchu.

Łuk towarzyszy człowiekowi niemal od początku kształtowania się pierwotnych form cywilizacji. Jego powstanie naukowcy datują na ponad 30 tys. lat przed naszą erą. Łuk bloczkowy wynaleziono w latach 60. ubiegłego wieku w USA, a jego pierwotnym i głównym przeznaczeniem jest myślistwo. Specjalny system bloczków znacząco redukuje siłę niezbędną

Zwierzyna upolowana w łowiskach słowackich i węgierskich



do utrzymania łuku w pozycji naciągniętej, umożliwiając myśliwemu długie pozostawanie w pozycji strzeleckiej, w oczekiwaniu na odpowiednie ustawienie się zwierzyny. Zdolność generowania znacznej energii kinetycznej w połączeniu z wyjątkową precyzją czynią nowoczesny łuk bloczkowy skutecznym narzędziem w rękach doświadczonego myśliwego. Ze względów ekologicznych oraz humanitarnych idea myślistwa łuczniczego jest oficjalnie promowana przez międzynarodowe organizacje łowieckie (m.in. przez CIC - Międzynarodową Radę Łowiectwa i Ochrony Zwierzyny oraz FACE) jako alternatywa dla broni palnej w wybranych dziedzinach gospodarki łowieckiej. Aktualnie łuk jako narzędzie do polowań przeżywa swój absolutny renesans. W samej Europie do 2014 roku ten rodzaj polowania dozwolony był już w piętnastu krajach. Według szacunków Europejskiej Federacji Myślistwa Łuczniczego (EBF) w Europie poluje z łukiem ponad 35 tys. myśliwych. Z kolei według Departamentu Zasobów Wewnętrznych USA liczba licencji łowieckich dla łuczników na przestrzeni ostatnich 30 lat wzrosła trzykrotnie. W 1996 roku wydano ponad 2,8 mln myśliwskich licencji łuczniczych, podczas gdy 10 lat później było ich już ponad 3,6 mln. W czerwcu 2012 roku do komisji prawnej CIC dołączył przewodniczący EBF z misją koordynacji procesów legislacyjnych i wsparcia dla związków i organizacji łowieckich w państwach członkowskich podejmujących proces legalizacji tej formy polowań. W ankiecie społecznej przeprowadzonej przez EBF ponad 90% respondentów opowiedziało się za opinią, iż łucznictwo w pełni zasługuje na miano historycznej formy polowania. Można nawet przyjąć, że wraz z sokolnictwem stanowi fundament bogatej tradycji łowieckiej.

Dobiegł mnie dziwny dźwięk – coś jakby tętent dziesiątek racic, narastający szum, wyraźny odgłos szybko zbliżającego się stada. Beczenie stało się wyraźne i pomiędzy delikatne odgłosy jagniąt i owiec wplatał się od czasu do czasu basowy, niski świst barana. Stado wpadło na polanę w pełnym klusie, nie zachowując jakiegokolwiek ostrożności. Kierdel dosłownie „przykrył” nęcisko. Pośród kilkudziesięciu sztuk wyluskiwałem te ze ślimami na łbie. Jest tryk. Jeden. Drugi. Trzeci. Czwarty... Ten, kto wpadł na pomysł, że liczenie baranów usypia, chyba nigdy nie polował... Tryki szczerlnie „obstawiają” się owcami i jagniętami. Strzał jest teraz niemożliwy. Trzeba poczekać. Josef posypał szeroko. Rozejdą się. Rozciągną szyki. Trzeba czekać. Czekać, a „pompa” już mi eksploduje... ciska się między żebrami jak wściekły pies w klatce... krew szumi w uszach... nie – już nie szumi – teraz już huczy jak górski wodospad, dławii mnie w gardle, dławii mnie w mostku, ledwie łapie płytki, urywany oddech...

Pstrąg łśni w słońcu, a ja stoję na brzegu górskiego potoku i „śnię na jawie” – oto złowiłem Wielkiego Potokowca – króla tej bystrzyny, przebiegłego mocarza, który przez lata był postrachem tutejszych pstrągów, bezlitosnym tępicielem jętek, niedościgłym łowcą strzebli potokowych... legendą wśród miejscowych... Kolorowe kropki łnią wszystkimi kolorami... Jeśli nie jestem jedynie kupką przypadkowo dobranych elektronów, jeśli nie jestem jedynie pyłkiem na tej kulce brudu zawieszzonej na peryferiach prowincjonalnej galaktyki, to kiedy stąd odejdę – chciałbym trafić do takiego właśnie raj... Wielki Potokowcu, wybaczyć, że odebrałem Ci wszystko. W zamian ofiarowuję Ci nieśmiertelność w umyśle moim i pamięci tych, którzy przyjdą po mnie. Spotkanie z Tobą było dla mnie zaszczytem i honorem... końcem niewinności i początkiem nowej drogi...

Z trudem wciągam głęboko powietrze, jeszcze raz, znów... nagle się uspokajam, a świat wokół mnie jakby spowalnia, łuk już nie ciąży w dłoni, ja sam jestem lekki, wypełnia mnie uczucie niespożytej mocy i energii, wszystko wokół staje się tak wyraziste, ostre niczym grot, ale też nieco nierealne... słyszę jak ziarna zbóż chrupią w pyskach muflonów, to absurdalne, ale robi się jakby jaśniej, widzę wyraźnie ślimy, dobrze widoczny zarys jasnego siodła, wyraźnie odcięty biały trójkąt na pysku, wszystko to, co dotąd widywałem jedynie na zdjęciach, teraz oto mam przed oczami – baran tańczy pośród stada, rozpycha się, karmi łapczywie. Przykułem do niego wzrok i wiem, że już nic nie zdoła tej więzi naruszyć, czekam zastygły w bezruchu. Czekam cierpliwie. Czas staje się niemierzalny. Przestrzeń nierealna. Jestem tylko ja i muflon. Czekam. Tryk w swej pazerności nagle odtrąca dwie owce, które dotąd wiernie ostaniały jego boki. Na chwilę zostaje sam na niespełna metrowym skrawku nęciska. Staje na blat. Nadal jest sam. Prawie sam... bowiem jestem jeszcze ja... Łuk jest nienaturalnie lekki. Napinam go powoli, nie odczuwając oporu, jaki zwykle towarzyszy 70 funtom. Zielonkawy światłowód kotwicę na komorze. Poprawka na wysokość. Pin wędruje nieznacznie w górę. Kotwicę i zastygam. Delikatnie otulam opuszką języka spustowy. Cięciwa warknęła gardłowo. Lotki śpiewają krótką pieśń. Przez mgnienie widać linię amarantowej poświaty ciągnącej za świecącą nasadką strzały. Kierdel rozpierzcha się błyskawicznie. W ułamku sekundy muflony są w lesie, ale po chwili odgłosy ucieczki milkną całkowicie. Słyszę tylko pojedyncze odgłosy i nagle dobiega mnie wyraźny trzask złamanej gałązki i chwilę potem charakterystyczny odgłos układającej się na boku zwierzyny. Muzyka dla uszu łowcy. Tego dnia coś skończyło się definitywnie, a zarazem coś zaczęło w tej magicznej, słowackiej kniei... Czas niepewności minął bezpowrotnie. Rozpoczął się czas łowieckiej pasji łuczniczej, która wkrótce pochłonie mnie bez reszty.

Strzała myśliwska wykazuje większą zdolność penetracji niż pocisk wystrzelony z myśliwskiej broni palnej o lufach gwintowanych, albowiem wynika to z jej podstawowej funkcjonalności, jaką jest precyzyjne cięcie żywotnych organów zwierzyny. Badania naukowe dowodzą, iż pozyskanie zwierzyny z łuku wiąże się dla niej ze stosunkowo niskim szokiem bólowym. Pomimo iż nowoczesne łuki myśliwskie z powodzeniem zachowują wysoki poziom precyzji na odległościach nawet do 100 metrów, to zgodnie z jedną z fundamentalnych idei myślistwa łuczniczego – wyrównanych szans – podczas polowania oddaje się strzały wyłącznie komorowe na odległościach do 30 metrów, z czego w praktyce ponad 90% strzałów oddawana jest na odległość do 20 metrów. Pomimo tego, jak dowodzą doświadczenia krajów, które dopuściły łuk do polowań, polowanie łucznicze jest bardzo efektywnym sposobem pozyskiwania zarówno drobnej, jak i grubej zwierzyny. Z raportów statystycznych publikowanych przez międzynarodowe oraz krajowe związki łowieckie wynika, iż polowanie z łukiem absolutnie nie przyczynia się do wzrostu procentowego udziału postrzałków. Badania przeprowadzone w Danii wykazały, że postrzelenia stanowią mniej niż 5% przypadków podczas łowów łuczniczych. CIC właśnie w łucznictwie dostrzega szansę na przetrwanie i popularyzację łowiectwa w społeczeństwach silnie akcentujących powrót do natury. Gwarancją etycznego polowania z łukiem jest precyzja oraz bezwzględny nakaz zachowania zasad łuczniczej metodyki łowieckiej i także wysoki poziom samodyscypliny. Polowanie z łukiem jest bardzo bezpieczną metodą pozyskiwania zwierzyny. Myśliwy łucznik oddaje strzał z niewielkiej odległości wyłącznie w warunkach dobrej widoczności, co w efekcie niemal eliminuje ryzyko nierozpoznania celu i popełnienia pomyłki. Z uwagi na specyfikę działania łuku strzelec nie może przemieszczać się z „naładowaną bronią”, eliminując tym samym ryzyko przypadkowego wystrzału, zaś zasada działania strzały myśliwskiej całkowicie eliminuje ryzyko rykoszetu. Ograniczona donośność strzały oraz brak huku podczas oddawania strzału sprawia, iż myśliwi-łucznicy często biorą udział w redukcjach populacji zwierzyny na terenach miejskich, gdzie użycie broni palnej jest niemożliwe. Przykładem tego są Helsinki i inne miasta w Finlandii, a także miasta w USA, gdzie myśliwi łucznicy są cenienni za pomoc w przedmiotowej redukcji. Międzynarodowe Stowarzyszenie ds. Edukacji Myśliwych (International Hunter Education Association) podało w swoim raporcie z 2001 roku, że wśród wszystkich wypadków myśliwskich w USA na polowaniach te z udziałem łuku stanowiły niespełna 1%, a większość z nich była w gruncie rzeczy spowodowana upadka-

mi z treestandów (przenośne urządzenia łowieckie instalowane samodzielnie na drzewach w sposób nieinwazyjny dla żywej tkanki roślinnej).

Przed wieczorem wracam na zasiadkę. Ponownie lustruję głębię lasu. Wodzę lornetką wokół stanowiska. Moją uwagę na dłużej absorbuje szary głaz leżący daleko w lesie pomiędzy drzewami... chyba nie było tam wcześniej tego głazu. Obserwuję go przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy tam wcześniej był, czy nie? I nagle... wydaje mi się, że głaz przesuwają się delikatnie w bok... co jest? Przesunął się, czy tylko wyobraźnia płata mi figle? Nie! Znów się delikatnie poruszył i oto zza drzewa pomalutku wychynął dziczy łeb. To odyniec.

Dają znać podprowadzającemu. Kanec nie porusza się jak inne dziki. On się skrada jak kot. Dostownie. Mija około 20 minut, nim dociera do krawędzi lasu. Przez głowę przemknęła mi myśl, że być może to jego ostatnia wyprawa na nęcisko... że może spotka tu dziś swoje przeznaczenie. Długo wietrzy. Raz za razem nadstawia słuchy. Oczy na nęcisko. Trwa to dosyć długo. Już myślałem, że nigdy nie wyjdzie zza linii drzew. Ale wyszedł. Skrada się. Kluczy. Ustawia bokiem. Wietrzy. Strzyże słuchami. Do nęciska podchodzi ledwie na ułamek sekundy i... błyskawicznie odskakuje, po czym odbiega kilka kroków. Zatrzymuje się i bacznie lustruje otoczenie, jakby chciał sprawdzić, czy jego obecność została przez kogoś zauważona. Tak kilka razy. Chodzi w tę i w tę. Ni to się karmi, ni to ucieka i znów wraca. O strzale nie ma mowy. Odyniec jest tak nerwowy, że realnie obawiam się string jumping... jego ruchy są błyskawiczne, a reakcje nieprzewidywalne. W pewnym momencie do nęciska podbiegają dwa warchlaki. Odyniec odrzucił jednego od karmy, a ten głośno zakwicztał. Na ten dźwięk – jak spod ziemi – pojawia się locha. Ale jakoś nie kwapi się interweniować. Po prostu stoi obok i obserwuje, czy warchlakom nie dzieje się krzywdą. Warchlaki zaczęły się łapczywie karmić. Odyniec najwyraźniej uspokoiła obecność lochy. Stał się jakby mniej nerwowy i już po chwili w jego zębach chrupało zboże. Długo, bardzo długo nie ustawiał się do strzału. Jakby skądś wiedział, że dopóty stoi przodem do ambony – jest w miarę bezpieczny... wreszcie jego czujność na tyle osłabła, że zapomniał się na moment i stanął na blat. Nie zdążyłem jednak nawet unieść łuku, bo już po chwili znów stał przodem. Serce wali mi jak kowalski młot, w gardle mnie dławią, prawie tracę oddech... Sam nie wiem, kiedy tym razem szaleńczy taniec serca odnalazł swój finał w wielkim spokoju, ukojeniu... takim jakimś stanie pół jawy – pół snu. Ten, kto wie, kto zna ten stan, ten zrozumie, kto nie doświadczył... nawet nie będę próbował wyjaśnić... Jak zwykle jestem zdziwiony swoim stanem, bowiem nierealność owego odczucia nigdy nie przestaje mnie zadziwiać. Odyniec wreszcie

stanął na blat. Nie czuję ciężaru łuku. Nie czuję siły jego naciągu. Jaki ten łuk lekki, jaki ten naciąg słaby... czy aby da radę? Powoli kładę palec na języku spustowym, ostatni raz sprawdzam zgranie układu i posyłam strzałę... psss – zaśpiewała cięciwa, brzdęk – odpowiedziały ramiona, sssswisst – zaciągnął broadhead... trzasssk! – odpowiedziały żebra... i ruszyła maszyna, niby lokomotywa z bajki Brzechwy, ale nie powoli, nie ospale, nie ociężała... szrust, szrust biegi wyrrywają do przodu i niosą cielsko odyńca w kierunku kniei. Pył z nęciska uniósł się w powietrze. Dzik znika w lesie – staram się nasłuchiwać, ale... podprowadzający już się gramoli po drabinie, zagłuszając odgłosy dziczej ucieczki. Zwracam mu uwagę, aby był cicho, ale ten już się cieszy, już gada... Patrzę na zegarek. Jest równo 19.00. Czekaemy 20 minut. Na zestrzale leży sfarbowana strzała. Wącham farbę. Rozcieram na białych lotkach. Wygląda na to, że strzał był czysty, komorowy. Stąd w kierunku lasu prowadzi wyraźna ścieżka farby. Zapiąłem strzałę na cięciwie i ruszamy za odyńcem.

W lesie same cienkie drzewka. Nie ma dokąd uciekać, nie ma na co się wspierać. Nieco irracjonalnie postanowiłem, że jeśli nie zdąży lub nie trafię szarżującego odyńca, to po prostu zdzielię go z całych sił na odlew łukiem w gwizd. Ciemny, gęsty las, słabo widać. Sięgam po lornetkę i... widzę go około 40 metrów dalej. Leży. Ale nie widzę stąd, jak leży. Podprowadzający też go dostrzegł i z przejęciem informuje mnie, że dzik leży. Nie odzywam

się. Wpatruję się intensywnie w leżące daleko w półmroku srebrne cielsko, aby na najmniejszy jego ruch – napiąć łuk, wycelować i strzelić. Drugi raz raczej nie zdąży. Skradam się jak duch – krok za krokiem. O dziwo, nawet mój podprowadzający idzie cicho – jak chce, to potrafi... Teraz już nie mogę wypuścić tuku, by sięgnąć po lornetkę, bo w razie czego stracę cenne sekundy na reakcję. Jestem coraz bliżej. Nadal widzę tylko szary grzbiet, ale już po kilkunastu krokach dostrzegam, że dzik leży na boku. Zachodzę go po łuku od strony grzbietu... cały czas obserwuję, czy klatka piersiowa się podnosi, ale zwierzę zdaje się leżeć bez ruchu. Jestem już naprawdę blisko. Dostrzegam, że świece ma otwarte i nieruchome. To koniec. Pochylam się nad nim i chcę przez chwilę pomilczeć, oddać się zadumie i refleksji, tradycyjnie oddać cześć upolowanej zwierzynie, ale podprowadzający już odzyskał werwę, już gada, opowiada, komentuje, hałasuje... zaczyna mnie poważnie irytować jego obecność... spoglądam na swój łuk... Święty Hubercie, darz mi cierpliwością...

Łuku nie sposób transportować „załadowanego”, ani posługiwać się nim w warunkach ograniczonej widoczności, zaś skuteczne oddanie strzału (wyłącznie komorowego) poprzedzone musi być żmudnym treningiem umożliwiającym perfekcyjne opanowanie umiejętności niepostrzeżonego zbliżenia się do zwierzyny na odległość 10–30 metrów. Uwarunkowania te w połączeniu ze znacznymi gabarytami





łuku sprawiają, iż łuk staje się całkowicie nieefektywnym narzędziem w rękach potencjalnego kłusownika. Według fińskiego ministerstwa kłusownictwo z łukiem nigdy nie było problemem w tym kraju, gdyż potencjalni kłusownicy posiadają ku temu o wiele efektywniejsze narzędzia.

W aspekcie ekonomicznym łuk jest wyjątkowo atrakcyjnym i uniwersalnym narzędziem dla myśliwego. Tym samym modelem łuku można z powodzeniem polować zarówno na ptactwo, zwierzyńę drobną, jak i zwierzyńę grubą. Dobór właściwego osprzętu do polowania sprowadza się w zasadzie do adekwatnego doboru grotu myśliwskiego. Ponieważ grot wkręca się w przednią część strzały, można go z łatwością wymienić na inny rodzaj – odpowiedni do obranego celu. W ten sposób tej samej strzały można używać na każdy gatunek zwierzyńy w łowisku. Myśliwska strzała, choć oczywiście droższa od pojedynczego naboju, jest jednakże amunicją wielokrotnego użytku zarówno podczas łowów, jak i w szczególności podczas treningów strzeleckich, co w ostatecznym rozrachunku sprawia, iż z ekonomicznego punktu widzenia jest bardziej efektywna. Specyfika polowania łuczniczego (brak efektów akustycznych w postaci huku wystrzału) w wyjątkowo znaczący sposób ogranicza płoszenie zwierzyńy w łowisku jak, i niepokojenie innych zwierząt.

Mięso pozyskane w efekcie polowania łuczniczego jest wysoko cenione ze względu na wyjątkowo niski poziom hormonów stresu we krwi pozyskanego zwierzęcia, a także praktycznie nie występuje tu problem z uszkodzeniem i/lub utratą części tuszy wskutek mechanizmów towarzyszących działaniu dużej energii kinetycznej pocisku. Sam zaś pocisk, czyli strzała myśliwska, na miejscu zestrzału służy – zgodnie z metodyką łuczniczą – analizie sytuacji i następnie podjęciu właściwej decyzji co do metody dochodzenia zwierzyńy, w znaczący sposób ograniczając odsetek niepodniesionych sztuk.

Siedzę na ambonie. Parę miesięcy temu w tym samym miejscu spotkałem muflona... mój muflon był taki sam, jak dziesiątki innych muflonów w tym łowisku. Ale to był

mój muflon. To uczyniło go wyjątkowym muflonem. Czas oczekiwania mija mi na przemyśleniach na temat ponadczasowego, ponadkulturowego fenomenu łowiectwa: „Nie musimy polować, by przeżyć. Dziś mięso można kupić w sklepie. Wystarczy przecież, że zarobimy wystarczającą ilość pieniędzy, by zapewnić byt swoim rodzinom, zyskać uznanie, szacunek, podkreślić swoją męskość, stać się bardziej atrakcyjnym dla kobiet. Dziś «poluje się» w garniturze, w todze czy kitlu – na zwierzynę zwaną mamoną, zaspokajając niemal wszystkie ewolucyjnie uwarunkowane męskie instynkty i popędy, więc po co to robimy? Czy jesteśmy w jakiś szczególnie sposób upośledzeni, słabi – skoro nie potrafimy stłumić w sobie tego pierwotnego atawizmu, który sprawia, że porzucamy nasze wygodne «jaskinie» i współczesne «łowiska»? Jest w łowach z łukiem niezwykły magnetyzm, który obsesyjnie przyciąga i pcha nas na poniewierkę włóczęgi za zwierzyną”. Takie refleksje snują się po mojej głowie. Spoglądam na swój łuk. Lubię jego kształt. Jest trochę twardy i ciężki jak rzeźnicki topór, jest też agresywny, a w smukłych ramionach drzemie brutalna siła, ale właśnie takim go lubię.

Ciemny kształt mignął między drzewami. Skrajem lasu skrada się pojedynek. Jest ostrożny. Nie wychodzi na polaną. Podkrada się niczym lis i po chwili na dobre znika w chaszczach. Zastanawiam się, czy poszedł na dobre, czy też z ukrycia obserwuje ambonę... może coś zwierzył? Nie jest mi dane dłużej się nad tym zastanawiać, bo nagle znikąd – jak duch – na granicy lasu pojawia się byk. Daniel z pięknym porożem. Wychodzi bezszelestnie z leśnego gąszczu. Przez chwilę obserwuję, jak niewiarygodnie sprawnie manewruje porożem między gałęziami. Tuż za nim młodzieutki daniel, a za nimi... potężny, kapitalny byk. Jasne łopaty widać wyraźnie na tle ciemnego lasu. Stąpają tak lekko, że wydaje się, że płyną w powietrzu. Suknia już nie ruda, prawie bez plamek, o tej porze roku bardziej jasna, kremowo-szara. Po chwili są już przy nęcisku. Już pierwsze ziarna chrupią w ich pyskach. Piękne, dostojne, szlachetne... Nagle z lasu wybiega pojedynek. Gniewnym fuknięciem przegania daniela. Jednak siedział w chaszczach i obserwował... Teraz odyniec zabiera się do karmy. Mam do niego lekki żal za te byki, ale będzie mógł odkupić swoje przewinienie – jeszcze chwilę niech się pokarmi, a potem mój Bear Carnage ukołysze go do snu... Wiatr nagle zmienia kierunek. Siatka na ambonie wybrzusza się w kierunku nęciska... dzik podnosi gwiżdż, chwilę wietrzy, po czym gwałtownie odskakuje w stronę lasu, w pół drogi zatrzymał się, odwrócił, znów wietrzy – upewnił się i rzucił do ucieczki, gniewnie fucząc. Zniknął na dobre. Nie pomógł dokładny prysznic przed wyjściem, maskowanie zapachów ani specjalnie przygotowana odzież. Żal. Trudno. Widać tak miało być...

Mijały minuty. Zaszło słońce. Powoli gasły kolory. Na polaną wkradał się mrok. Nie pamiętam, skąd nadeszła ta wataha. Była liczna i składała się prawie wyłącznie z dużych osobników. Widzę wyraźnie kontury. Wszystkie dziki stoją na sztych lub tyłem do mnie, pomimo że ze zboża usypane są okręgi, a nie linia. Karmią się. Nagle jeden staje na blat. Upewniam się, że to nie kulały sztych przodem. Napinam łuk. Mierzę dokładnie w centrum komory. Kotwiczę pin, uwzględniając, że strzelam z ambony, podnoszę go nieco w górę... mierzę, gdy nagle zza mojego dzika wbiega drugi i ustawia się tuż za nim. Odpuszczam łuk. Dobia ga mnie ledwie słyszalne westchnienie Josefa.

Czekam. Dziki zmieniają pozycję. Drugi ustawia się na blat. Napinam łuk. Mierzę. Kotwiczę pin jak poprzednio – i jak poprzednio tuż za moim celem ustawia się inny dzik... odpuszczam łuk. Josef cicho klnie pod nosem. Czekam. Znów jeden staje na blat. Znów napinam łuk. Mierzę. Dzik delikatnie przesuwają się lekko w skos. Minimalnie, ale wystarczająco, aby popełnić fatalny w skutkach błąd. Zatem ponownie odpuszczam łuk. Stoję na galeryjce i nadal czekam. Spoglądam na prawo. Dzik na blat. OK. Jeszcze raz. Napinam łuk. Spokojnie. Mierzę. Nadal stoi na blat. Za nim pusto. Kładę palec na spuście. Delikatnie naciskam. Amarantowy rozbłysk. Charakterystyczny trzask. Wataha zrywa się do ucieczki. Dzik gna do przodu. Po 30 metrach zwala się jak ścięty. Ale natychmiast podrywa się, zmienia kierunek o 90 stopni i biegnie wprost w chaszczę. Wpada w nie z całym impetem. Słychać łamanie gałęzi i nagle wszystko ucicha. Po 20 minutach schodzimy z ambony. Badamy farbę na strzale. Wygląda na to, że płucna. Idziemy po farbie. Tuż na skraju polany, około 15 metrów od miejsca, gdzie po raz pierwszy upadł, w chaszczach leży mój dzik. Ogarnia mnie pełna ulgi i wdzięczności stonowana radość.

Niemal każdy z nas, będąc dzieckiem, strzelał z leszczykowego łuku. Łuki nie są naznaczone negatywnym stereotypem w skojarzeniach niemyślności części społeczeństwa. Nie mamy łuczniczych strzelanin, napadów na banki, przypadków, gdy znana osoba postrzeliła z łuku swoją partnerkę, myśląc, że to włamywacz, wypadków, gdy w trakcie imprezy jedna osoba drugą zraniła strzałą. Powoduje to sytuację, w której skojarzenia „cywilnej” ludności co do łuku są pozytywne, a sam łuk nie budzi lęku i nie jest ofiarą medialnej nagonki i hysterii.

Pozytywna opinia ogółu społeczeństwa o łowiectwie w krajach, gdzie poluje się z łukiem, determinowana jest wymaganiami etycznymi stawianymi łucznikom, którzy szczytą się wartościami, na jakich opiera się ta wyjątkowa sztuka, m.in. zasadą szlachetnej równości szans – zwierzyna versus łowca. Specyfika łuczniczej metodyki sprawia, iż łucznik traci jakąkolwiek

przewagę technologiczną nad zwierzyną, a jej nieporównywalnie wyostrzonym zmysłom musi przeciwstawić swój spryt oraz umiejętności. Ten rodzaj metodyki łowieckiej, dzięki wyzwaniom, jakie stawia przed łowcą, przyciąga coraz więcej młodych adeptów sztuki myśliwskiej, którzy w ten sposób jednocześnie zasilają szeregi krajowych związków łowieckich.

Coraz więcej krajów europejskich decyduje się na powrót do polowania z łukiem. W chwili obecnej w Szwecji, Norwegii, Danii, Estonii, na Litwie, Łotwie i Islandii trwają już procesy legislacyjne zmierzające ku legalizacji myślistwa łuczniczego, albo ją nowelizujące. Dania jest już o krok do przodu dzięki legalizacji polowań na drobną zwierzynę i sarny, tym samym rozpoczynając proces legalizacji polowań na większe gatunki. Słowacja i Bułgaria zalegalizowały już polowanie z łukiem. Grenlandia zezwoliła na tę działalność od 2012 roku. Międzynarodowy Program Edukacyjny Myślistwa Łuczniczego (International Bowhunting Education Program – IBEP) został już rozpowszechniony w niemal wszystkich państwach europejskich, w tym także w Polsce, gdzie myśliwi pozyskują uprawnienia do wykonywania polowania z łukiem w krajach dopuszczających myślistwo łucznicze.

Nazajutrz wstałem wcześniej. O świcie ponownie siedzimy na Tabechkut. Po godzinie byk wychodzi spośród drzew 80 metrów od ambony, przecina łąkę i drogą rusza w kierunku Matejkovec. Obserwuję, jak odchodzi. Po pół godzinie ruszamy za nim. To Josef wypatrzył go przez lornetkę w gąszczu drzew. Gdyby nie Josef, to wszystko, co za chwilę stanie się moim udziałem, prawdopodobnie nie wydarzyłoby się nigdy. Stoimy na leśnej drodze i obserwujemy jelenia w głębi lasu. Ponad 80 metrów. Las... sterty opadłych i wysuszonych liści oraz łupin po buczynie, a to wszystko gęsto naszpikowane zalegającymi wszędzie suchymi gałęziami... drzewa cienkie, nie ma się za czym skryć. Stoimy w bezruchu i obserwujemy byka. Po chwili czuję jego charakterystyczną woń. Przynajmniej wiatr mi sprzyja... Mam na sobie kamuflaż dokładnie dobrany do podchodu w tym konkretnym terenie.

Josef wczółguje się 5 metrów w głąb lasu. Tu go zatrzymuję. We dwóch nie mamy żadnych szans, więc chcę, aby tu został. Dalej ruszam sam. Josef filmuje. Wyszukuję miejsca, gdzie mogę postawić stopę. Czasami staję na palcach, czasami na krawędziach stopy, czasem muszę ułożyć stopy w tak nienaturalnej pozycji, że tracę równowagę i zaczynam się chwiać na nogach. Przez cały czas muszę bacznie obserwować byka. Gdy tylko podnosi łeb, zastygam w całkowitym bezruchu. W połowie drogi chyba jeleniówki dostają się pod moją maskę i po chwili czuję, jak łażą mi pomiędzy włosami na głowie i raz po raz gryzą. Łeb śwędzi potwornie. Kilka razy nie jestem

w stanie już znieść tego świądu i powoli sięgam dłonią, by podrapać się po łbie. To nie skutkuje, a ja nie mogę teraz zdjąć tej cholernej czapki niewidki, pod którą chmara krwiopijców raz po raz dziurawi mi skórę.

Jeleń bardzo powoli przemieszcza się pod górę, raz w lewo skos, a raz w prawo skos. Jest nade mną raz na kulawy sztych tyłem, a innym razem przodem do mnie.

Odcinek 50 metrów pokonuję przez ponad 20 minut, które ciągną się w nieskończoność. Kilka razy zastygam w bezruchu z nogą uniesioną w górę, nieruchomiejąc w pół kroku, prawie tracąc równowagę, dopóki byk z powrotem nie opuści łba. W tym czasie serce dwukrotnie odebrało mi dech. Kiedy docieram na dystans 30 metrów, zatrzymuję się i sprawdzam dalmierzem odległość. Stoję 30 metrów od jelenia i przez dłuższą chwilę analizuję sytuację. Byk jest wyżej ode mnie, więc muszę nieco obniżyć linię celowania, jest też zdecydowanie na kulawy sztych tyłem, więc muszę też odpowiednio cofnąć linię celowania. Przecięcie obu linii wypada na tyle daleko poza komorą, a wybrany w ten sposób punkt celowania wydaje mi się tak niewiarygodny, tak nienaturalny, że przez chwilę nachodzi mnie pokusa, aby jednak celować bliżej komory... szybko ją odpędzam i kotwiczę zgodnie z zasadami, które znam... Od kilkunastu minut łuk niosłem przed sobą z nałożoną strzałą, manewrując pomiędzy drzewami, a pomimo to nie czuję zmęczenia ręki, napinam łuk, kiedy jeleni opuszcza łeb, zgrywam przyrządy, sprawdzam poziomice, kładę palec na języku spustowym... świst i prawie równoległe głuchy, stłumiony charakterystyczny trzask... przez ułamek sekundy widzę, jak świecąca nasadka znika w tuszy byka i niemal jednocześnie widzę, jak strzala wylatuje z drugiej strony, zmieniając nieco kierunek lotu... Jeleń jest tak pewny, że nic go bezgłośnie nie podejdzie w tym terenie, nic nie zaskoczy znienacka, że odbiega zaledwie na ok. 20 metrów, zatrzymuje się, odwraca i oczy w moim kierunku. Przez dalmierz obserwuję bezbrzeżny wyraz zdziwienia na jeleniej głębie, chrapy wietrzą, łyżki strzygą, świece oczą w moim kierunku, ale w tym momencie jestem poza jego percepcją. Nie widzi mnie, nie czuje, nie słyszy. Po chwili zaczyna delikatnie przymykać świece, mruży je, opuszczając łeb, jakby gotował się do snu...



Tekst: Michał Jakubowski
Zdjęcia: Kł. im. św. Huberta
i Tomasz Stasiak

Zaraz po II wojnie, już w sierpniu 1945 roku, grupa myśliwych zawiązała stowarzyszenie myśliwskie im. św. Huberta we Wrocławiu. Skład pierwszego zarządu przedstawiał się następująco: Prezes – Jarema Wodzinowski, Łowczy – Józef Biernecki, Sekretarz – Stefan Sochocki, Skarbnik – Jan Miśkiewicz. Stefan Sochocki był autorem pięknego znaczka Koła, którego forma została zachowana do dzisiaj i jest naszą odznaką.

Dzierżawiono wtedy dla celów łowieckich cały obszar powiatu wrocławskiego i powiatu Środa Śląska. W 1949 roku następują podziały naszych obwodów i wyodrębniają się nowe koła łowieckie. W 1952 roku Koło wydzierżawiło atrakcyjne i bogate w zwierzynę płową łowisko w Świeradowie-Zdroju w Górach Iżerskich. Do dziś po retuszach w związku z powstaniem rezerwatu i zmniejszeniem powierzchni obwodu jest to dla wszystkich członków najatrakcyjniejsze łowisko.

Obcowanie z odradzającą się przyrodą po wielkiej klęsce ekologicznej (kwaśne deszcze), możliwość pozyskania trofeów jeleni byków jest wielkim magnesem przyciągającym co jesień na rykowisko liczną rzeszę kolegów. Naszym królewskim ptakiem jest cietrzew, który ma tutaj swoją ostoję. Pomimo dużych zmian, związanych z budową infrastruktury turystycznej – gondola, nartostrady czy trasy rowkowe – ciągle można znaleźć miejsca, gdzie ludzka stopa dawno nie stanęła.

W 1974 roku wybudowano Ośrodek Hodowli Bażanta w miejscowości Stary Zamek. Dzięki wyteżonej

pracy hodowlanej możliwe stało się pozyskiwanie nawet tysiąca bażantów w sezonie łowieckim.

Ośrodek ciągle był modernizowany i przebudowywany. Niestety, w latach dziewięćdziesiątych ze względów ekonomicznych zaniechano dalszych prac. W miejscu tym powstał nasz domek myśliwski, gdzie nadal się spotykamy, urządzamy uroczystości i wypoczywamy.

14 kwietnia 1981 roku za działalność i ofiarność na łowieckiej niwie Koło zostało uhonorowane najwyższym odznaczeniem łowieckim – „Złomem”. Dołączyliśmy do nielicznego grona najlepszych kół w naszym kraju.

W ciągu tych 70 lat zmieniał się skład członkowski Koła – odeszło na zawsze wielu naszych kolegów, nieliczni z różnych przyczyn zmienili przynależność, przybywało nowych kandydatów i nowych myśliwych. Zmieniały się władze Koła, jednak należy podkreślić, że wybrani koledzy umiejętnie pełnili swoje obowiązki i poświęcali się swojej pracy.

Dzierżawimy trzy obwody łowieckie o łącznej powierzchni 16 563 ha. Koło liczy 59 członków i czterech stażystów. Naszą najlepszą wizytówką jest mocna populacja sarny. W ciągu ostatnich 10 lat pozyskaliśmy 30 medalowych rogaczy. Kto hoduje, ten poluje.

Obecny skład zarządu: Prezes – Michał Jakubowski, Łowczy – Edward Żaba, Skarbnik – Janusz Oźmiński, Sekretarz – Przemysław Cwynar, Podłowczy – Dariusz Szczepański.

Komisja Rewizyjna: Przewodniczący – Mieczysław Herdzik, Członkowie – Leszek Ciba i Paweł Maziarz.

Bogata to przeszłość i mamy za sobą zmienne koleje losu. Nadal działamy i staramy się dążyć do jak najlepszych rezultatów hodowli w dzierzawionych obwodach łowieckich. Koledzy – członkowie Koła – zawsze byli naszą ostoją. Przyjaźń i dyscyplina, przestrzeganie zasad bezpieczeństwa na polowaniu, prawość – to elementy, które wpływają na nasz wizerunek. W chwilach wspomnień nad dziejami Koła warto pamiętać o naszych Kolegach, którzy odeszli. To im – naszym poprzednikom – zawdzięczamy tradycję Koła, ciągłość jego istnienia, obyczaje i zwyczaje w nim panujące. Ta ciągłość tradycji jest ich największą zasługą, dziełem, które mogli z dumą po sobie pozostawić. Dzisiaj wiemy – jesteśmy pewni, że kluczem do sukcesu jest wspólna pasja, umiłowanie łowiectwa, praca na rzecz łowiska, dobra atmosfera, wynikająca z doboru mało konfliktowych ludzi. Z takimi Nemrodami możemy ufnie patrzeć w naszą przyszłość!



Z Kolegą Michałem Jakubowskim, prezesem Koła Łowieckiego im. św. Huberta we Wrocławiu, rozmawia Jacek Seniów

Michale, będąc stosunkowo młodym człowiekiem, zostałeś prezesem najstarszego koła łowieckiego we Wrocławiu i na Dolnym Śląsku.

– Tak, i na wstępie chciałbym podziękować Koleżance i Kolegom za zaufanie, jakim mnie obdarzyli. Traktuję to jako moje duże zobowiązanie wobec Koła. Narodziny Koła to koniec lata, początek jesieni 1945 roku. Tworzyli nasze Koło ludzie, którzy przybyli do Wrocławia z bardzo różnych stron i z bardzo różnym bagażem, ale łączyła ich wspólna, olbrzymia pasja życiowa – łowiectwo.

Daty, fakty etc. są bardzo ważne, ale Koło tworzą przede wszystkim ludzie, ich myśli, postawy. Od jak dawna jesteś myśliwym w tym Kole?

– Od ponad szesnastu lat. Tu zostałem stażystą, a potem myśliwym. Przed wojną polował mój dziadek – zawodowy żołnierz, oficer i rusznikarz. W czasie wojny żołnierz AK, a w latach powojennych znalazł się „w nagrodę” na czarnej liście. Ani dziadek, ani mój ojciec nie mogli polować. Dopiero ja otrzymałem pozwolenie na broń. Koło nasze zakładały osoby, które były w jakimś stopniu legendami polskiego łowiectwa. Ja zaś miałem to szczęście, że moi starsi koledzy byli często ich wychowankami. Są i tacy, którzy są z nami do dzisiaj, jak Kolega Julian Bronowicki, strażnik ze Starego Zamku, czy Zbigniew Halski, który miał na mnie duży wpływ. Za to wszystkim Kolegom dziękuję.

Patrząc z perspektywy czasu, wspomnień Kolegów, historii tych lat, czy mógłbyś określić, jakim to Koło uległo przemianom? To tak w przenośni – droga od centrali telefonicznej na korbkę do telefonu komórkowego z komputerem w kieszeni.

– Poniekąd tak. Kiedy powstawaliśmy, nikt z nas nie marzył o osobistym telefonie czy komputerze w kieszeni, bo tam sięgały tylko powieści science fiction. Ale koło to ludzie, a nie technologie, chociaż się nimi posługują. Często o tym myślałem. Siedemdziesiąt lat to jak całe życie człowieka i myślę, że przeżyliśmy je w pełni. Dzięki charakterowi ludzi, którzy je stworzyli i tworzą obecnie. Elastyczni i zżyci ze swoją pasją i sobą samymi. Każdy z nich potrafił zrezygnować z części siebie, tworząc nową jakość – Koło. Wiesz, polowanie polowaniem, ale ten wspólny byt, praca na rzecz obwodów, to umiejętne podzielenie życia pomiędzy nasze rodziny i tę drugą rodzinę – Koło jest źródłem sukcesu. Kiedyś naszym obwodem były powiaty wrocławski i średzki. Z naszego Koła wyłaniały się kolejne. Zaczynaliśmy w czasach, gdy do obwodu jeździło się pociągiem, autobusem,

a prywatny samochód osobowy był rzadkością. Tu smak wysiłku zmieniającego się w sukces cieszył podwójnie, a może potrójnie. Zmiany, jakie ogarniały nas, dotyczyły wszystkich wokół. Sukces zaś zasadza się na czynniku ludzkim. Kolejne zarządy Koła tworzyli ludzie światli, wykształceni, oddani przyrodzie i łowiectwu. Postawy trudne, konfliktowe typu „mnie się należy”, „ja muszę” zawsze gaszono w zarodku. Dobro ogółu było na pierwszym miejscu i to pozwoliło nam przejść przez wszelkie problemy minionych lat. Zarządy były zawsze wspierane przez ogół naszej kółkowej społeczności. I za to znowu chcę podziękować raz jeszcze wszystkim członkom Koła, bo dzięki ich postawom mogę dziś polować w kole marzeń.

Łowiectwo ma w sobie wiele dziedzin: kynologię, strzelectwo, szeroko rozumianą kulturę z kolekcjonerstwem, muzyką, literaturą, sztukami pięknymi, rzemiosłem etc. Czy któraś z nich jest wśród Was dominująca?

– To kultura, która nas tworzy. Samo polowanie to element techniczny. Swoją rangę otrzymuje poprzez tradycję, etykę, ogólnie rozumianą kulturę.

Siedemdziesiąt lat minęło, co chcielibyście przekazać dalej swoim następcom?

– Stabilny byt Koła, oparty o naszą własność, bezpieczne finanse i zadbane populacje zwierzęcy. Jak wspomniałem, opodal Wrocławia w Starym Zamku mamy swoją siedzibę. Kiedyś mieliśmy tu bażantarnię. W latach prosperity odchowywaliśmy ponad tysiąc bażantów rocznie. Czasy się zmieniały, a tym samym uwarunkowania ekonomiczne takiej hodowli. To nasz poprzedni Zarząd z prezesem Januszem Fedeczko uporządkował przestrzeń naszej wyspy, ale przede wszystkim doprowadził z sukcesem do wykupu gruntu – tak więc jesteśmy na swoim. Dziękujemy poprzedniemu Zarządowi. Od 1952 roku dzierżawimy obwód górski w Świeradowie, w Górach Izerskich. Cudowny teren, ze specyficznym klimatem i roślinnością reliktową. Sto pięćdziesiąt kilometrów od Wrocławia, na Hali Izerskiej, jest najzimniejsze miejsce w Polsce i tereny, na których dawno nie stanęła ludzka stopa. To tu spotykaliśmy głuszca i nadal spotykamy cietrzewia, dla którego, miłośnika lasu przepadłego, kłęska ekologiczna była w jakimś sensie zbawienna. Walka z kłęską spowodowaną kwaśnymi deszczami i gradacją owadów szkodników spowodowała konieczność przebudowy drzewostanów, ale i znacznego ograniczenia populacji jelenia. Zarządzony odstrzał redukcyjny był dla nas wyzwaniem. Jak go zrealizować, nie naruszając jakości populacji? Udało się to

dzięki dużej świadomości ekologicznej członków Koła, dyscyplinie i spojrzeniu na łowiectwo przez naszą tradycję i dobro ogółu. Istniejące tu obecnie dla zwierzyny zagrożenia są poza naszym zasięgiem. Nie mamy wpływu na intensywność turystycznego użytkowania tych terenów, ale możemy zwracać ludziom uwagę na te problemy, budować z nimi dobre relacje i tą drogą osiągać zrozumienie dla nas oraz naszych celów. I to robimy. Wiele lat zdobywaliśmy doświadczenie w gospodarowaniu populacją sarny w naszych obwodach podwrocławskich. Prowadziliśmy jej wnikliwą obserwację, wyciągaliśmy wnioski z zaistniałych sytuacji i wzrost liczbowy populacji nie pociągnął za sobą jej spadku jakościowego. Daliśmy szansę sarniej młodzieży, a w ostatnim sezonie dziesięć z sześćdziesięciu pozyskanych rogaczy zostało przedstawionych do wyceny medalowej. No i przede wszystkim – ta nasza kółkowa tradycja i mądrość. Atmosfera naszego Koła.

To może jeszcze jakaś przygoda łowiecka, która zapadła Ci głęboko w pamięć?

– To chyba jedno z niedawnych polowań w ruję na rogacza. Przed świtem jeszcze wybrałem się w rejon obwodu, gdzie obserwowałem pięknego rogacza. Znalazłem go w łanie zboża w towarzystwie kozy. Otulony porannymi mgiełkami, prześwietlonymi promieniami wstającego słońca, wyglądał wspaniale. Bajeczny władca rewiru. Staram się go ocenić, przywołując całą swoją wiedzę i doświadczenie. Gdzieś się gubię, może to przez ten jego urok. Rosną wątpliwości co do wieku rogacza. Tak ważę to wszystko i w końcu odwołuję się do naszego patrona św. Huberta. Dasz go na blat, to strzelam. W tym momencie kozioł szczeknął i gwałtownymi susami oddalił się ze swą towarzyszką do pobliskiej remizy. Chyba za

długo i za wiele powodów szukałem, aby nie przerywać oglądanego piękna. Nie spodziewając się już tu niczego innego poza ewentualnie powracającym do kukurydzianej sypialni dzikiem, a nie chcąc tracić takiego pięknego ranka, udałem się na skraj rzepakowej ścierni i kukurydzy. Zajmując się światłem, powietrzem, głosami ptaków i wszystkim tym wokół, nie zwracałem uwagi na zwierzynę. Nagle na skraju ścierni i kukurydzy widzę rogacza o nadzwyczaj wysokich parostkach, na których ma namotane jakieś zielsko uniemożliwiające ich ocenę. Patrząc na to jeszcze bez emocji. Ale rogacz zaczyna iść – i to uporczywie – w moją stronę. Chyba jakiś giez go ukąsił, bo gwałtownie skoczył, zrzucając to zielsko i obrócił się bokiem, pozwalając obejrzeć całe parostki. Bardzo, bardzo wysoki i cienki, ale szóstak. Ułamek sekundy rezygnacji i nie, przecież nieraz uparta obserwacja pozwalała dostrzec to, czego nie widać na pierwszy rzut oka. Kozioł dalej się zbliża, a moje serce wchodzi na wysoką orbitę. Na róży prawego parostka dostrzegam dodatkową odnogę. Myłkusa! Trzy strzały: mojej adrenaliny, skoku rogacza w kukurydżę i mojego sztucera zlewają się w jedno. Eksplozja emocji i myśli. A jeśli to moja wyobraźnia zrobiła z niego myłkusa? Po kilku minutach, wydających się wiecznością, idę na miejsce strzału. Smuga komorowej farby znikająca w ścianie kukurydzy wskazuje na dobry strzał. Wolno, na lekko miękkich nogach, cholera, przecież to nie pierwszy raz. Wchodzę w kukurydżę. Parę metrów dalej – jest! Tak leży, że widzę tę drugą odnogę szóstaka. Odwracam, jest druga róża na tej właściwej i ponad dziesięciocentymetrowa dodatkowa odnoga. Teraz cały jestem miękki. Św. Hubert umiał pokierować losem i nagrodzić szacunek dla piękna.





2016 Oborniki

II Wystawa Trofeów Medalowych Przyroda – Łowiectwo

W dniach 22–26 kwietnia po raz kolejny spotkaliśmy się w gościnnych progach restauracji Gospoda w Obornikach Śląskich u Kolegi Mariusza Kowalczyka, przewodniczącego Komisji Wystaw przy Okręgowej Radzie Łowieckiej we Wrocławiu. Tym razem okazją była II Wystawa Trofeów Medalowych naszego Okręgu pod hasłem Przyroda – Łowiectwo. Wzięło w niej udział 115 wystawców. Zaprezentowano 35 wieńców jeleni byków, 8 łopat danieli byków, 65 parostków rogaczy sarny, 8 oręży dzików, 22 czaszki lisów i 13 czaszek borsuków. Szczególną atrakcją były najciekawsze formy pozyskanych myłkusów i ślimy muflona Kolegi Mieczysława Łyskawy.

Wystawa jest organizowana co trzy lata i prezentuje nasz dorobek trofeistyczny z ostatnich trzech sezonów łowieckich. Pokaz trofeów pozwalający na dyskusję i ocenę dorobku hodowlanego w tym okresie to niejedyny jej aspekt. Wystawa została wzbogacona programem edukacyjnym dla dzieci i młodzieży, w ramach którego prezentowano filmy przyrodnicze, a Koledzy myśliwi prowadzili prelekcje omawiające różne zagadnienia ochrony środowiska naturalnego i rolę, jaką pełni w tej dziedzinie łowiectwo. W zajęciach wzięło udział ponad 700 uczestników, głównie dzieci ze szkół podstawowych i ponadpodstawowych powiatu trzebnickiego.

Były pamiątki, słodycze i inne atrakcje. Tradycyjnie już zdobywcy medalowych trofeów otrzymali medale i dyplomy potwierdzające ich osiągnięcia. W otwarciu wystawy, oprócz licznej rzeszy myśliwych i mieszkańców Obornik, wzięli udział przedstawiciele lokalnych władz państwowych, dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych we Wrocławiu Adam Płaksej oraz nadleśniczowie z Obornik Śląskich, Wołowa i Żmigrodu Koledzy Kazimierz Pakulski, Artur Dyrz i Marcin Majewski.

Z tej okazji odwiedzili Oborniki Śląskie przedstawiciele niemieckich myśliwych z Rehau, którzy od wielu lat współpracują z naszymi Kolegami z Obornik, biorąc udział we wspólnie organizowanych konferencjach i imprezach związanych z kulturą łowiecką.

Serdecznie dziękujemy wszystkim współorganizatorom i sponsorom. Szczególne podziękowania składamy Joannie Dudczenko ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Obornikach Śląskich, Staroście Powiatu Trzebnickiego Sławomirowi Błazewskiemu, Burmistrzom Obornik Śląskich i Prusic Arkadiuszowi Poprawie i Igorowi Bandrowiczowi za ciepły stosunek do naszych działań. Dziękujemy także Kolegom myśliwym, którzy byli zaangażowani w przygotowanie i realizację całości przedsięwzięcia, w tym zespołowi sygnalistów Tryton, który już tradycyjnie zapewnił oprawę muzyczną imprezy.

Tekst i zdjęcia: Jacek Seniów



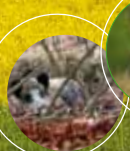
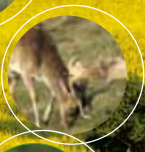
BARBARA ZIEMANN

1

cieka- wos- tki

z pól i lasów

MYŚLIWI DZIECIOM



ekosystem? to bardzo proste

Ekosystem to zespół organizmów żyjących w określonym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

co to jest las?

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Barbara Ziemann

2

cieka- wos- tki

z pól i lasów

MYŚLIWI DZIECIOM



ekosystem? to bardzo proste

Ekosystem to zespół organizmów żyjących w określonym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie. W ekosystemie występują organizmy żyjące w tym samym miejscu i czasie, które są ze sobą powiązane i oddziałują na siebie.

co to jest las?

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie. Las to zespół roślinności i zwierząt, który jest powiązany i oddziałuje na siebie.

Nieprzebiegliwi panie polowań na polakach Polak, czyli to, co jest najważniejsze w polowaniu. Nieprzebiegliwi panie polowań na polakach Polak, czyli to, co jest najważniejsze w polowaniu.

W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy.

W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy.

W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy.

W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy.

W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy. W 1993 roku utworzono Park Narodowy.

historia ochrony przyrody w Polsce

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy. W 1918 roku utworzono pierwszy park narodowy.

Format A4, oprawa twarda, 44 strony
W I części 127 fotografii i 8 rysunków, w II części 117 fotografii
Cena detaliczna egzemplarza – 25 zł plus koszty wysyłki
cena hurtowa – 20 zł plus koszty wysyłki

Komplet książek „Ciekawostki z pól i lasów” (część I i część II)
Cena detaliczna – 40 zł, – cena hurtowa – 30 zł plus koszty wysyłki

ZAMÓWIENIA:





PPHU „GRANDEL” Sp. z o.o., 64-920 Piła, ul. O. M. Kolbe 13 C
tel./fax 67 212 64 27
e-mail: info@grandel.com.pl lub: grandel@pro.onet.pl

REWOLUCJA

w walce z bólem reumatycznym!



JEDYNY TAKI LEK W POLSCE¹

-  **Rozpuszcza się na języku**
-  **Łagodny dla żołądka²**
-  **Zwalcza ból na 24 godziny³**
-  **Nie zawiera cukru**



MEL. ROZPUSZCZA BÓL!

¹ Dotyczy produktów z meloxicamem w postaci tabletki ulegającej rozpadowi w jamie ustnej dostępnych bez recepty zgodnie z bazą IMS Health Report OTFMR0116 dla kategorii 02E2C MUSC.PAIN.REL.SYS.CAP/TAB

² M. Dziewulski, Zastosowanie meloxicamum w leczeniu reumatoidalnego zapalenia stawów, Medycyna Rodzinna 3/2004, s. 109-112.

³ M. DeTacca, R. Colucci, M. Fomai and C. Blandizi, Efficacy and Tolerability of Meloxicam, a COX-2 Preferential Nonsteroidal Anti-Inflammatory Drug

MEL, 7,5 mg, tabletki ulegające rozpadowi w jamie ustnej. Skład: 1 tabletkę zawiera 7,5 mg meloksycamu (Meloxicamum). Postać farmaceutyczna: tabletkę ulegającą rozpadowi w jamie ustnej. Wskazania do stosowania: Lek przeciwbólowy i przeciwzapalny stosowany w bólach kostno-stawowych i mięśniowych w przebiegu chorób reumatoidalnych i zwyrodnieniowych stawów. Stosowany w krótkotrwałym leczeniu zaostrzeń objawów chorób reumatoidalnych, takich jak: reumatoidalne zapalenie stawów, młodzieńcze reumatoidalne zapalenie stawów oraz zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. Przeciwwskazania: Stosowanie produktu leczniczego jest przeciwwskazane w następujących przypadkach: nadwrażliwości na substancję czynną lub na którąkolwiek substancję pomocniczą lub na substancję o podobnym działaniu np. niesteroidowe leki przeciwzapalne (NLPZ), kwas acetylosalicylowy; meloksycamu nie należy stosować u pacjentów z objawami astmy, polipami nosa, obrzękiem naczynioruchowym i pokrzywką, stwierdzanymi w następstwie podawania kwasu acetylosalicylowego lub innych leków z grupy NLPZ; w trzecim trymestrze ciąży i w okresie karmienia piersią; u dzieci i młodzieży poniżej 15 lat; krwawienia z przewodu pokarmowego lub perforacji przewodu pokarmowego w wywiadzie, powiązanych przyczynowo z uprzednim leczeniem NLPZ; czynnej lub nawracającej choroby wrzodowej żołądka i (lub) dwunastnicy i krwawienia w wywiadzie (dwa lub więcej oddzielnych epizodów potwierdzonego powstania owróżdeń lub krwawienia); ciężkiego zaburzenia czynności wątroby; ciężkiej niewydolności nerek u pacjentów niedializowanych; krwawienia z przewodu pokarmowego, krwawienia w obrębie mózgu lub inne zaburzenia przebiegające z występowaniem krwawień w wywiadzie; ciężkiej niewydolności serca. Podmiot odpowiedzialny: PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCJI FARMACEUTYCZNEJ HASCO-LEK S.A. 51-131 Wrocław, ul. Zmigrodzka 242E. Przed zastosowaniem należy zapoznać się z zatwierdzoną charakterystyką preparatu. Dalsze informacje dostępne na życzenie.

Przed użyciem zapoznaj się z ulotką, która zawiera wskazania, przeciwwskazania, dane dotyczące działań niepożądanych i dawkowanie oraz informacje dotyczące stosowania produktu leczniczego, bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża Twojemu życiu lub zdrowiu.